Nr. 47. Lwów, Niedziela dnia 21. Listopada 1875 r. Rok II.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM II.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XLVII.

PENSJONATY ŻEŃSKIE.

IV. Pensjonat zakonny wysila się ku temu, by zacierać wszelką indywidualność pupilki, wszelkie znamiona samodzielności w gruncie wykorzenić, wolną wolę budzącą się, rozwijającą, zgnieść, stłumić, wydrzeć z duszy i rzucić w nią natomiast nasiona własne. Najstraszniejsza ta niwelacja ducha, odbywa się w celach wiadomych światu; odkąd oświata prawdziwa wtargnęła w ciemne zakamarki laboratorjów antycywilizacyjnych zakonnych. Wydrzeć posiew Boży, zniszczyć wolę człowiekowi, daną mu przez Boga, a natomiast spowinąć ducha ślepem, bezwiednem, automatycznem posłuszeństwem, i upiastować sobie tym sposobem generacje oddane interesom nie Bożym, ale klerykalnym, to cel celów.

Niewolno też panienkom nigdy znaleść się samym, ani nawet we dwie; zawsze i wszędzie co najmniej trzy razem znajdować się muszą. Dwie mogłyby mieć sposobność wynurzyć się serdeczniej przed sobą, zbliżyć się do siebie przyjaźniej — a serdeczność, przyjaźń, te najmilsze kwiaty młodego wieku, niebezpieczne zasadom pensjonatu zakonnego, bo wyziębić serce, wynaturzyć je, zabić potrzeba koniecznie, gdy zabija się wolę. To co pedagogika każe pielęgnować i rozwijać starannie, a kierować ku dobremu, t. j. wolę i serce, pensjonat zakonny zabija, niszczy, wydziera.

Nauki też zastosowane do systemu. Historja powszechna na przykład, podaje się uczennicom w suchym, katalogowym wyciągu dat, bez poglądu na wypadki, bez wyjaśnień ich przyczyn i skutków. Historja kształci umysł, rozwija, rozbudza myśl, wyobraźnię, rozgrzewa serce, i wreszcie na kierunek woli oddziaływa. Jakżesz więc tak zbrodniczą naukę podawać pupilkom? podaje się martwe rusztowanie, goły skielet, suche jałowe cyfry i nazwiska. Lecz wyobraźnia ma swoje prawa, domaga się pokarmu, szuka materjałów, któreby przetrawić mogła. Pensjonat ma na to sposób, i zamiast historji, uczy bajek. Oto w jednym z pensjonatów zakonnych w Galicji, starszym panienkom opowiada się baśń następującą: W Neapolu znalazł pewien wieśniak bryłę lodu. Zdziwiony tym widokiem, chciał rozbić ją siekierą, lecz bryła odzywa się do niego: „Jestem duszą zaklętą, a tobie przeznaczono uwolnić mię od pokuty. Sprowadź księdza, by 100 mszy jedną po drugiej odprawił nademną, a będę zbawioną.“ Ksiądz przyszedł, wziął bryłę do kościoła i odprawiać msze zaczął, lecz gdy odprawił 99, setnej odprawić nie mógł, bo djabeł przeszkodził. Wciąż powtarzał — i dopiero za setnym razem, sto mszy z rzędu odprawił, poczem zbawiona dusza uleciała do nieba, a lód się roztopił. — Oto krótka treść baśni. Mógłby ktoś mniemać, że opowiadano ją pannom, jako przykład baśni ludowych, jako okaz fantazji ludu, jak w szkołach świeckich zapoznaje się uczniów z klechdami, gawędami, baśniami ludowemi, aby im wyjaśnić charakter fantazji ludowej. Wcale nie, nie jako baśń ludową, ale jako fakt prawdziwy, historyczny, opowiadała te niedorzeczności nauczycielka historji z całem namaszczeniem, z całą powagą nauczyciela.

Myśl pupilki odrywana systematycznie od rzeczy istotnych, a wciągana w mglistą krainę urojeń, zamiast zdrowo wyobraźnię zasycać, truje ją, przekręca, i czyni dziwaczną, bez gruntu na ziemi, bez oparcia na rzeczywistości. Z wyobraźni, rodzi się marzycielstwo chorobliwe, co ogarnia powoli wszystkie władze ducha i ubezwładnia je do życia praktycznego i tłumi głos natury,

Jakżeż częstemi są wypadki, że córki tracą wrodzone do rodziców przywiązanie, że siostry tracą miłość dla braci. Miałem sposobność patrzeć kilkakrotnie na łzy matek, na ciężkie strapienie ojców, gdy oddawszy do pensjonatu klasztornego poczciwe dziewczę, odebrali zeń zimnego jak głaz, marzycielstwu oddanego potworka. W pewnej rodzinie taki odstraszający zdarzył się wypadek, że panna powróciwszy z pensjonatu z postanowieniem wstąpienia do klasztoru, wyegzaltowana przez wielebne mateczki, biczowała się, nosiła włosiennicę, a rodzinę swą do upadku, do kija żebraczego przywiodła. Rzecz się tak miała: Ojciec panny X. człowiek bardzo majętny, umarł wcześnie, zostawiając żonę, dwie córki i syna. Majątek rozdzielił między dzieci. Starsza siostra panny X. zamężna, znalazła się w nędzy, bo jej i męża majątek skutkiem wypadków 1863 r. skonfiskowano. Pani X. z tęsknoty za mężem i ze zmartwienia umarła. Panna X. doszedłszy pełnoletności, wstępuje do klasztoru i oczywiście cały swój majątek klasztorowi zapisać pragnie. Sumy przez ojca jej wyznaczone, hypotecznie były zabezpieczone na majątku ziemskim jej brata. Brat atoli zmuszony teraz utrzymywać całą rodzinę starszej siostry, nie mógł od razu spłacić młodszej. Panna X. nie pomnąc na obowiązki krwi, na święte węzły rodzinne, czyni akt darowizny na rzecz klasztoru bez żadnych zastrzeżeń, a klasztor dla odebrania zapisu wystawia majątek swej nowej adeptki na publiczną sprzedaż. Klasztor wypędzony z pod rządu rossyjskiego, znalazł punkt oparcia w Galicji — a ów majątek, o którym mowa, znajduje się w ziemiach zabranych. Zakonnice podstawiły osobę trzecią do przeprowadzenia sprzedaży, która oczywiście przychodzi do skutku w najokropniejszych warunkach. Polakom kupować ziemi nie wolno — kupili ją Moskale za bezcen. Klasztor odebrał darowane mu pieniądze, ale brat panny X. i starsza jej siostra, matka pięciorga dzieci, zostali ogołoceni ze wszystkiego.

Ciekawą byłaby statystyka wykolejonych z życia kobiet; o ile doświadczenie z życia towarzyskiego poucza, śmiało twierdzić można, iż na 10 kobiet nieszczęśliwych z własnej winy, lub wykolejonych z granic obowiązków, 8 dostarczyły pensjonaty zakonne.

Czyż może być inaczej, jeżeli zakład nie daje i dać nie może pojęcia o obowiązkach i warunkach życia, jeżeli nie sposobi pupilki dla świata, w którym jako kobieta, żona, matka żyć ma przeznaczone, jeżeli ziębiąc serce, zabijając wolę, niszcząc indywidualność, ulepia chimerę, zapala marzycielstwo, struże manekiny?!

Logika nie dopuszcza ujęcia nienaturalności w prawidło, więc jakże zgodzić się można na to,

aby zakonnica zamykająca się przed światem, przed jego prawami i obowiązkami, gardząca nim — a nieznająca go nawet, mogła wychować, wykształcić kobietę do życia w świecie, do spełnienia obowiązków dla niego, do zamiłowania tych obowiązków? Bóg sam objawił kobiecie prawdziwe jej powołanie, prawdziwy obowiązek, dając synowi Bożemu matkę, i czyniąc matkę Zbawiciela, wzorem matek ludzi. Czyż taka wynaturzona zakonnica, co zdeptała prawa natury i wolę Bożą zapoznała, co sama nie jest ani żoną, ani matką, może wykształcić żonę i matkę? Czyż podobna, aby ta osoba, co wydarła się z węzłów rodzinnych, wyrzekła się matki, ojca, siostry, brata — nie dla Boga, (bo Bóg swego własnego dzieła gwałcić nie może i samemu sobie się nie sprzeciwia —) ale dla chimery, mogła nauczyć rodzinnej miłości swoją uczennicę?

Wynaturzyć, zabić serca, zatrzeć indywidualizm, zasiać marzycielstwo, zdeptać miłość rodzinną, złamać rozum, i z natury najlepszej wystrugać chorobliwą marę — i tę wyrzucić potem za mury klasztoru — oto jedyna działalność pensjonatów zakonnych.

A jednak znajdują się niestety rodzice, co zabijają przez Boga powierzone im córki w tych kuźniach ogłupiania — bo edukacja tanio tam kosztuje, bo za 300 zł. przyjmują zakonnice pupilkę na rok cały, a pensjonat świecki żąda znacznie więcej! Oddają tam swe dzieci, bo hrabia X. książę Y. je oddał, bo kuzynka Eulalja *znajduje,* iż pensjonaty zakonne najlepsze, bo i tysiące tych „bo“ — w obec sumienia grzesznych, w obec rozumu: niedorzecznych.

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach

przez

J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(*Ciąg dalszy*).

XV.

Gdy znowu dni parę minęło, wróciła niespokojność, zwiększona jeszcze tysiącem domniemywań.

— On pewnie słaby! — wymówiła nagle głośno.

— Kto taki słaby? — zapytała się ciocia Gefia, przechadzająca się po pokoju w ogromnym pudermantlu i jeszcze większym czepcu, krokiem zamaszystym i zajętym mocno.

— Pan Stanisław! — odrzekła Konstancja półgłosem i z pół rumieńcem... — Bo już dawno nie odwidził cioci i mnie.

— Słaby! — zawołała ciocia głosem przerażenia, i stanęła na środku pokoju. — A wiesz Kostusiu, że to być może! bo mnie się perły śniły... trzeba posłać się dowiedzieć! poszlemy Chapkę; ona ma najdłuższe nogi.

— Wyjechał przed dwoma dniami.

— I gdzieś leży umierający w karczmie! co za nieszczęście!...

— Ciocia sądzi!...

— Perły, moje serce, to łzy.

— Ostatnim razem zdawał się nawet być cierpiący — uważała ciocia?

— To znowu co innego, on był zamyślony.

— Zamyślony? z jakiego powodu? — badała dziewczyna, rada już temu, ze może o nim gadać.

— Bo to widzisz — zagadła ciocia wyciągając obie ręce z wyrazem dramatycznym, i jeszcze tragiczniejsze próbowała puścić westchnienie — On się kocha!

— Kocha? w kim?

Tu razem uśmiech jak niebo pogodny, i rumieniec jak zorza na niebie wybiegły na twarz dziewczyny.

Ciocia przystąpiła do Konstancji, przyłożyła palec do ust, i spuszczając oczy z wyrazem wstydliwości komicznej nad wyraz, i starając się zarumienić, co wszakże się nie udało, i skończyło tylko na jeszcze komiczniejszem wykrzywieniu ust i twarzy — rzekła głosem sentymentalnym:

— We mnie się kocha biedak!

Kostunia nie mogła dłużej wytrzymać, i choć jej nie było wesoło, porwał ją śmiech pusty, lecz aby cioci Gefi, której pretensję w tej mierze znała doskonale — nie urazić, twarz schowała w chustkę, i odwróciła główkę.

— I ciocia wie to z pewnością?! — zapytała z daremnie tajoną pustotą.

— Czy ja wiem! — rzekła na to ciocia Gefia, i stanęła przed zwierciadłem, by się lepiej przypatrzeć zapewne przybranej w tej chwili postawie bohaterki dramatycznej. — A któż może mieć więcej doświadczenia jak ja! która trzech mężów wybrałam z pomiędzy mnóstwa starających się i zakochanych! Ach! żebyś wiedziała, ile każdym razem wzbudzałam zajadłej zazdrości! Ja to już dawno poznałam, że Stanisław szalenie we mnie rozkochany. Czyż to ja nie widziałam jego pomięszania, jego spojrzeń, jego westchnień, ile razy tu był między nami.

— I cóż ciocia na to?

— Żal mi chłopca! daję ci słowo że mi go żal! bo widzisz, ja mam dobre serce, bardzo dobre serce, to moja słaba strona! I chociaż po śmierci trzeciego męża mego, śp. Wieluńskiego, przy jego martwym trupie (troszkę cuchnął nieboszczyk) przysięgłam sobie, że już więcej za mąż nie pójdę — cóż ja temu winna, że mnie miłością prześladują, bo niech będzie między nami, i sprawnik się kocha we mnie.

— I sprawnik, czy być może!

— Jak szalony! Więc tedy, cóż to ja chciałam powiedzieć?

— O panu Stanisławie Wydrze!

— A tak! więc chociaż z drugiej strony przychodziło mi na myśl *que je derogerai* bo moi wszyscy trzej mężowie byli znakomitych rodów szlacheckich, a mój drugi mąż był nawet szambelanem, i po dziś dnia jestem szambelanową, Staś zaś jest tylko fabrykantem!... ale to już nie znaczy dziś tyle co dawniej. We Francji fabrykanci bywają dekorowani, a nawet na ministrów wychodzą.

— Więc ciocia przychyla się do życzeń pana Stanisława?

— Mówiłam ci że mam serce dobre i czułe, a zresztą *il est assez beau garçon!...* i nawet ma coś dystyngowanego!.. wahałam się *foi d'honnête femme!...* wahałam się!... chociaż jestem jeszcze w najlepszym wieku!... Ale inne, szlachetniejsze zdecydowały mnie pobudki, i gotowa jestem dać Stasiowi moją rękę.. i tym sposobem uwieńczyć jego miłość.

— A te pobudki kochana ciociu?

— Widzisz moje serce Staś jest fabrykantem, garbarnia to już fabryka szlachetniejsza. Dziad jednego lorda, którego znałam bardzo dobrze, bo przyjeżdżał do nieboszczyka Orłowskiego, grafa, na polowanie, był także garbarzem, a jego wnuk był wikontem Dalogdale, hrabią Glendina i tam dalej. Staś rozpoczął fabrykę w rodzaju już europejskim, ale nie ma znacznych kapitałów. Tu ci się muszę przyznać moja Kostusiu droga, że miałam inne tentacje, bo uważałam, że od mojej woli tylko zależało, ale niech to będzie między nami...

— Słucham, milczenie zaprzysięgam.

— Mogłam stanąć jeszcze w bliższych do ciebie stosunkach.

— Jakto, może dziadzio?..

— To nie! *il est trop vieux* dla mnie!

— A więc któż taki?

— Powiem ci tedy pod sekretem, że odemnie zależało zostać marszałkową, byłabym tedy, jak ty pójdziesz za Artura, niejako twoją macochą, a raczej matką, bo wierzaj mi serce moje, że ciebie kocham bardzo.

— Więc i marszałek?

— *Ça date de loin!...* robił zawsze do mnie słodziutkie oczy i odemnie zależało. Ale co to ja mówić chciałam?

— O garbarni i o szlachetniejszych pobudkach.

— Aha!... więc uważasz, Staś potrzebuje do swojej fabryki aby prosperowała, kapitałów. Postanowiłam tedy przedać moją wioskę na Polesiu, i idąc za niego, oddać mu wraz z ręką i kapitał tym sposobem zyskany.

— A to śliczny projekt.

— *N'est-ce pas?...* ja mam bardzo dobre serce, chciałam wprawdzie moją wioskę tobie zapisać, ale ten biedny Staś, jego serce i jego fabryka! Zostanę jego żoną. I mam przy tem śliczny jeszcze projekcik.

— Jeszcze jeden projekt?

— Nasze dwa śluby odbędą się jednego dnia. Obie razem staniemy na kobiercu! ty z Arturem a ja ze Stasiem! to będzie śliczna ceremonja.

— Niech ciocia siebie wydaje tylko. Ja pana Artura nie chcę.

— Będziesz żoną Artura, będziesz kamerjunkrową: ja ci powiadam. Daję ci słowo, w przeszły piątek ciągnęłam na naszą intencję kabałę, tę moją sławną kabałę, którą szambelan przywiózł z Paryża od panny Lenormand! bo piątek to najlepszy dzień na kabałę; i imaginuj sobie, akurat wypadł ślub, ślub dla mnie i dla ciebie. Ta kabała nigdy się nie myli.

— Tym razem skłamie! — przerwała Konstancja, którą z początku rozweseliła komiczność ciocinej gadaniny, ale w końcu znudziła ją nawet i zgniewała.

— Nie kłamie! nie moja duszko, i powiem ci więcej jeszcze. Ty pewnie nie wiesz, gdzie pojechał rotmistrz.

— Nie wiem! — zawołała Konstancja z rozbudzoną ciekawością.

— A ja się domyślam i widzę wszystko jak na dłoni. Rotmistrz pojechał do biskupa.

— Do biskupa!

Serce Kostusi uderzyło gwałtowniej.

— Do biskupa za dyspensą dla was! bo jakkolwiek twój ojciec był tylko stryjecznie stryjecznym bratem marszałka, potrzebna jest duchowna dyspensa, po którą nie trzeba posyłać do Rzymu, sam biskup może jej udzielić.

Wiadomość ta, chociaż pochodziła od cioci Gefi, której talent czynienia takich domysłów był powszechnie znany, uderzyła Konstancję mocno w dzisiejszem usposobieniu; nieprawdopodobne mogło jej się wydać możliwem. Nie chciała tego wprawdzie pokazać po sobie, wybiegła zatem do ogrodu z myślą, którą powtarzała sama sobie:

— Dziadzio powiedział pewnie o tem Stanisławowi, i dla tego nie przychodzi. Ale dziadzio taki dobry, tak mnie kocha! czyżby chciał mnie przymuszać? Nie, ja nie pójdę za tę lalkę salonową! za tego europejskiego błazna. Nie! Nie!

I to mówiąc, poszła znowu do ulubionej kapliczki, i miała łzy w oczach, i że łzami patrzała na zamknięte okna w pomieszkaniu Stanisława.

Biedny Stanisław! on już wrócił z krótkiej podróży, i ukryty w oknie za firanką patrzy ku ogrodowi, widzi stojącą Konstancję, i przeczuwa jej myśli czarne, cierpi jej cierpieniem, płacze jej łzami. On stokroć więcej cierpi i przecierpiał przez te dni wszystkie, bo ona ma jeszcze nadzieję, która chwilami jak słońce przez chmury, przebija się przez ciemne myśli... On nie ma już żadnej nadziei; postanowienie jego niezmienne.

— Cokolwiek się stanie, moim obowiązkiem jest wyrzec się Konstancji!

Przychodziły mu czasem na myśl marzenia i nadzieje. Może domniemywanie jego o zamysłach rotmistrza jest fałszywe; rotmistrz nie lubi, a co więcej, nie szanuje Artura: czyżby mógł wydać za niego swoją ulubioną wnuczkę? Lecz Stanisław miał dzielny charakter, i z sumieniem swojem nie zwykł wchodzić w układy.

— I w takim nawet razie wyrzec się Konstancji powinienem. Ja syn ludu, ona w wyższem społeczeństwie urodzona, choćby dziś namiętnością wiedziona chciała zapomnieć o przestrzeni nas dzielącej, drudzy nie zapomną, i ani mnie, ani jej nie przebaczą. I może przyjść chwila, w której i ona znękana tą walką z swoimi, pożałuje kroku namiętnego? Cóżby mnie wówczas zostawało jeżeli nie rozpacz! a jedyny ratunek, samobójstwo.

A nareszcie przywodził sobie na pamięć położenie polityczne kraju, gotującą się burzę, która lada chwila może wybuchnąć, a w której jemu niewolno zostać nieczynnym. Przyjął na siebie obowiązki, których dopełnić choćby z ofiarą własnego życia, sam przed sobą przysiągł, i danem słowem kierowników gotującego się ruchu, zapewnił.

— I ją mam wciągać w tę burzę razem z sobą, znając jej silne i niezłomne usposobienie, by razem ze mną w niej przepadła? Nie, nigdy! — mówił do siebie pełen wyższego zapału. — Ona przeboli, zostanie żoną Artura, i zostanie uratowaną a z czasem zapomni.

Takie powziął postanowienie— niezmienne. I tylko tem się biedził, jakby je wykonać? Różne miał myśli! Rozmówić się z nią otwarcie! Pisać do niej. Odrzucił i jedno i drugie, bo nie czuł się tyle panem siebie samego, by się w słowie pisanem czy mówionem nie zdradził... i nie uległ wreszcie.

A więc nic nie powiedzieć, i wyjechać nagle postanowił. Wszakże bliższe porozumienie się z tajną władzą, kierującą w Warszawie przygotowaniami ruchu, było koniecznem prawie. Więc wyjedzie do Warszawy nie pożegnawszy się z Konstancją! Lecz rotmistrzowi czyż może nic nie powiedzieć? Powie mu zatem, że go powołuje nagły rozkaz z Warszwy; powie w ostatniej chwili— na wsiadanem... Przez czas jego niebytności, sama konieczność ustalenia losu Konstancji przymusi rotmistrza, by ją wydał za Artura, i poświęcenie zostanie dokonane. Powziąwszy to postanowienie, byłby może wyjechał w czasie niebytności rotmistrza i wytłumaczył się listownie nagłością rozkazu. Wstrzymywały go jedynie rozpoczęte przez Mortka układy ze sprawnikiem. Wziął tę sprawę poleconą mu przez rotmistrza na siebie, więc musiał jej dokonać! i czyliż mógł porzucić rotmistrza w chwili tak niebezpiecznej? Z największą też niecierpliwością oczekiwał lada chwila spodziewanego rezultatu zawiązanej przez Mortka negocjacji, o której udaniu się nie wątpił wcale. W tym celu nawet wyjeżdżał, odwidzając i Mortka i miasteczko powiatowe, w którem królował nasz znany Paweł Onufryjewicz. Lecz nic się jeszcze nie dowiedział pewnego, bo sprawnik za rozmaitemi sprawami włóczył się po powiecie. Mortko mu tylko powiedział, że Iwan Iwanowicz i jego nadobna kochanica zapewniają go, że wszystko dobrze pójdzie. Stara Mortkowa sama siedzi w miasteczku, i wszelkiemi sposobami wpływa na sowietnikównę. Józef zaś czeka także w miasteczku, aby w tej chwili przywieść wiadomość do Mortkowej karczmy na owym tęgim koniu galicyjskim, którego Iwan Iwanowicz, niechcąc się skompromitować przed marszałkiem, i nie dowierzając wreszcie prawdziwości tak znacznej ceny, podanej mu przez Mortka, jemuż samemu odprzedał za czterdzieści dukatów.

— *Jewrej, sukin syn, niech zna*, że ma do czynienia z carskim czynownikiem! — rzekł do siebie z tryumfalnym wyrazem twarzy pan *czastny prystaw*. — Mnie Iwana Iwanowicza nikt w pole nie wyprowadzi!

XVI.

Starego rotmistrza nie było cały tydzień. Zrana dopiero w ten sam dzień, na który pozapraszał jak wyżej widzieliśmy marszałka z synem, przybiegła do Konstancji wierna Chapka.

— Już pan *ide!* — zakrzyknęła. — Ot tam widać już na pagórku!

I w rzeczy samej kałamaszka rotmistrza czterema terantami zaprzężona, zjeżdżała właśnie z góry drogą od gościńca prowadzącą, która na dole rozchodziła się na dwie strony — do Gradowiec przez groblę i pod górę do zaskalskiego dworu. Z okien dworu i fabryki patrzyli Konstancja i Stanisław na jadącego. Jakież było obojga zadziwienie, gdy zjechawszy na dół, kałamaszka zwróciła się do miasteczka. Taranty niemniej zdziwione, przyspieszonym biegiem pogoniły wprost przed kościół O.O. Kapucynów.

— Ce to ma znaczyć? — zapytali sami siebie Stanisław i Konstancja.

Ciocia Giefia zadecydowała bez wahania:

— Widzisz, że prawdę mówiłam. Przywiózł dyspensę od biskupa, i dlatego naprzód pojechał do Kapucynów. On ma tam w nich szczególne zaufanie, którego nie rozumiem.

Tym razem o tyle zgadła ciocia, że rotmistrz w rzeczy samej zajechawszy przed kościół, udał się wprost nie do kościoła ale przez furtę do klasztoru.

Stanisławowi gdy zobaczył jadącego przed kościół rotmistrza, po pierwszem zadziwieniu przyszło zaraz na myśl, że mu się nadarza najlepsza sposobność pożegnania rotmistrza nie widząc się z Konstancją. Pospieszył zatem do kościoła, lecz tam się dopiero dowiedział, że rotmistrz jest w klasztorze, w celi księdza Fulgencjusza, gwardjana klasztoru gradowieckiego. Stanisław zaczekał przed kościołem.

Po długiej półgodzinie wyszedł rotmistrz w towarzystwie odprowadzających go przez furtę gwardjana i księdza Damazego, kaznodziei, którego już widzieliśmy i słyszeliśmy mówiącego na zebraniu u marszałka. Byli to dwaj najwyżsi dygnitarze i luminarze razem klasztoru gradowieckiego, pełni czci dla rotmistrza, który był ich klasztoru szczególnym opiekunem i dobrodziejem.

Rotmistrz prócz mgły jakiejś na czole, może z zamyślenia lub zmęczenia pochodzącej, miał twarz jak zwykle pogodną. Stanisławowi zdało się wszakże, jako w ruchach jego i całym układzie było coś więcej poważnego jak zwykle. W oczach mianowicie zdawał się błyszczeć promień wyższej energji, jakby z głębi duszy wypływającej. Był to błysk myśli pewnej siebie, stanowczo ustalonej. Przed tym wyrazem Stanisław mimowolnie uchylił czoła i przywitany uprzejmie jak zwyczajnie przez rotmistrza, sam nie wiedział jak zacząć to, co chciał wypowiedzieć. Wzdrygał się przed kłamstwem choć w myśli szlachetnej czynionem, na widok starca głowy, otoczonej zda się widomie aureolą jakiejś wyższości niepojętej. Nieraz w późniejszym czasie powtarzał Stanisław, jako zdało mu się w onej chwili, że widzi głowę świętego pańskiego.

Ostatniej dobywszy siły, ozwał się wreszcie Stanisław głosem drżącym:

— Chciałem właśnie pomówić z panem rotmistrzem.

Stary Gradowski spojrzał bystro na Stanisława, i z łagodnym uśmiechem odpowiedział:

— I owszem, mój Stasiu, ale nie teraz, jestem zmęczony całonocną podróżą, która niekoniecznie służy starym kościom.

Przy tych słowach zdało się Stanisławowi, że słyszał wychodzące z ust starca lekkie westchnienie. Lecz stary szlachcic

mówił dalej z uśmiechem coraz łagodniejszym:

— Pozwól Stasiu niech odpocznę sobie kilka godzin w domu. Przed wieczorem czekam na ciebie. Będę miał gości, i z tobą właśnie mój Stasiu mam do pomówienia w sprawie bardzo dla mnie ważnej. Więc się oba wywnętrzymy nawzajem.

A wsiadając już do kałamaszki, dodał z uśmiechem, w którym było pół wesołości:

— Przyjdziesz Stasiu? nie odmówisz przecie twemu staremu opiekunowi.

Serce Stanisława tak się ścisnęło. że nie był w stanie słowa przemówić. I łza mimowolna zwilżyła mu oko; by ją ukryć, skłonił głowę miasto odpowiedzi, a pocałowawszy starca w rękę, co prędzej się odwrócił i pobiegł ku domowi. Nie widział nawet jaki wzrok za nim rzucał rotmistrz, wzrok czułości i żalu jakiegoś w dziwnem połączeniu.

Przebiegniemy pokrótce godziny ranne i poobiednie, które stary rotmistrz przepędził w swoim pokoju, by prędzej być świadkami wieczornego zgromadzenia.

Witającą Kostusię ucałował z zwykłą serdecznością, a może nawet dłużej trzymał w czułym uścisku, lecz wszelką rozmowę do której Konstancja niemałą miała ochotę, przerwał mówiąc:

— Jestem trochę zmęczony moje dziecię; odpocznę sobie.

I już odchodzęc zwrócił się jeszcze, jakby sobie nagle przypomniał:

— Będziem mieli gości dzisiaj, dziś jest jedna z rocznic mego długiego żywota; jedna z rocznic wesołych, może na ten dzień zrzucisz żałobę, Kostuniu. A szambelanowa kochana może się tam raczy zająć, aby niczego nie brakowało gościom.

Gdy już odszedł, szambelanowa spojrzała na Konstancję ze znaczeniem.

— A co, nie mówiłam! — rzekła ciocia Giefia. — *J'ai du talent pour la diplomatie!...* jak mówił mój nieboszczyk szambelan o sobie i o mnie.

Konstancja zostawiła ciocię Giefię bez odpowiedzi, i pobiegła do siebie.

Zrzucić żałobę, tę żałobę krajową, którą już od dwóch lat nosi, to biednej dziewczynie drżało ciągle w uszach, w sercu i w głowie.

Chciała zapłakać, ale jej było nie do łez. Usposobienie Konstancji w tej chwili było dziwne. Wszystko zdawało się w niej wzbudzać niepokój rozpaczliwy, a mimo to odzywał się w jej sercu głos jakiś zaspakający. Był to przedewszystkiem głos energji dzielnej, jakim Konstancja obdarzona była, a który mimowolnie z ust wydobywał się słowy:

— Ja kocham dziadzia, ja wszystko zrobić dla niego gotowam. Ale mamże jego woli poświęcić szczęście całego życia mego? Czyżby dziadzio chciał mego nieszczęścia i rozpaczy? Nie, ja dziadziowi winnam śmiało i otwarcie prawdę powiedzieć całą.

Rotmistrz prawdę mówił, twierdząc, że jest zmęczony, lecz się rozminął z prawdą, gdy odpowiedział, że chce odpocząć. Wróciwszy do siebie, wszedł naprzód do sypialnej alkowy i w niej stanął przed wiszącym nad łóżkiem obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, i spojrzawszy ku obrazowi, westchnął z pełnej piersi, i bardzo żałośnie. Potem jął się modlić uklęknąwszy pokornie. A gdy po żarliwej modlitwie podniósł się stary, wyższe, święte namaszczenie promieniło się z jego twarzy spokojnej i wypogodzonej.

(C. d. n.)

Wspomnienia z Włoch

od 1864 do 1867 r.

Zanotował

Józef Rogosz.

(Ciąg dalszy.)

IX.

Bezpieczeństwo publiczne.

— Dla czego u was wszystkie okna na dole, a czasem i pierwszego piętra żelaznemi kratami opatrzone? — zapytałem jednego ze znajomych.

— Bo u nas niebezpiecznie.

Mój znajomy miał rację.

We wiekach średnich, gdy prawem najwyższem była samowola możnych, każdy dom musiał wyglądać jak twierdza, bo był schronieniem warownem; później despotyczni książęta myśleli o wszystkiem, tylko nie o bezpieczeństwie swoich poddanych, a przez ciąg wielu wieków zło tak się zakorzeniło, że długich jeszcze lat potrzeba zanim na półwyspie Apenińskim zapanują pod względem bezpieczeństwa publicznego europejskie stosunki. W krajach, w których sprawiedliwość zawisła od kaprysu jednostek, każdy wykonywa ją na własną rękę. Tak dzieje się do dziś na całym Wschodzie i w południowych republikach amerykańskich, tak działo się do niedawna we Włoszech i w Hiszpanji.

— Nie pójdę do sądu, bo albo mój przeciwnik przekupi sędziów, albo oni z lenistwa uśmiercą moją sprawę! — Tak mówił pokrzywdzony, a że nie chciał przebaczyć urazy, więc szukał sprawiedliwości na końcu swego noża. Benvenuto Cellini szeroko opisuje te stosunki w swoich pamiętnikach.

Ulica Ferruccio leży w samem sercu Florencji, bo tuż obok głównego placu, zwanego Signorią. Raz przechodziłem nią w samo południe, gdy nagle o kilka kroków przedemną wszczął się wielki hałas, poczem zrobił się taki ścisk, że kroku nie mogłem postąpić. Przebiwszy się nareszcie przez tłum, ujrzałem dwóch mężczyzn z ludu, walczących z sobą na gołe noże. Dokoła zapaśników utworzyło się koło ciekawych, którzy krwawej scenie przypatrywali się obojętnie, jak starzy Rzymianie walce gladjatorów. Nikt chociażby poruszeniem ręki nie okazał, że chce przerwać walkę, która łatwo mogła skończyć się śmiercią. Bójka była krwawa. Jeden miał już głęboką ranę w lewym policzku, drugi w lewem ramieniu. Cała scena trwała zaledwie dwie minuty, bo w czas zjawiła się policja, która zakrwawionych szermierzy uprowadziła z sobą mimo ich oporu i głośnych protestów. Czy sądy rozstrzygnęły potem, który z dwóch był winniejszym, tego nie umiem powiedzieć; przypuszczam atoli, że sprawa była trudną do wyświecenia, gdyż zaledwie ukazał się pierwszy stróż publicznego porządku, Włosi, którzy z taką ciekawością przypatrywali się walczącym, rozpierzchli się na wszystkie strony, nie z obawy przed policją, ale przed możliwem świadczeniem w sądzie. Włoch przewidując *vendettę* nie lubi świadczyć. Co więcej, on zabójcę bierze nawet w obronę, i ukrywa go ilekroć może, jakby przeczuwał, że jutro, uniesiony namiętnością i on dopuści się zbrodni, a wtedy będzie żądał wzajemności.

Jeżeli takie bójki wydarzały się w stolicy królestwa włoskiego, i do tego w samo południe, cóż dopiero musiało dziać się w małych wioskach lub w górach kalabryjskich! Jedna statystyka może na to odpowiedzieć. Morderstw, skrytobójczych zamachów i ciężkich uszkodzeń ciała, rok rocznie wykazuje ona we Włoszech kilkanaście tysięcy — a dawniej liczyła ich po 40 i 50 tysięcy w jednym roku. Tyle mówią cyfry...

Wspomniałem o wendecie. Zemsta przechodząca dziedzictwem z pokolenia na pokolenie, wydarza się i dziś we Włoszech, chociaż nie równie rzadziej jak dawniejszemi laty. Najczęściej można się z nią spotkać na Korsyce, w Sycylji i w Romanji. Inne prowincje prawie jej nie znają. U pewnego bardzo porządnego obywatela widziałem sztylecik, którego ostrze nie było dłuższe jak trzy cale. Sztylet ten utrzymywał się w jego rodzinie od 200 lat, i w tym czasie potrzykroć był użytym do spełnienia wendetty. Teraźniejszy właściciel czcił go jak relikwję familijną...

Moralność nie jest bezwzględną. Co jedni uważają za cnotę, drudzy potępiają jako zbrodnię... Moralność zawisła od pojęć, wśród których człowiek wychował się i wzrósł...

* * *

W południowych prowincjach, w cieniu ojcowskich skrzydeł rządu burbońskiego, wyrósł pasożyt o krociach rąk i głów, którego rząd włoski do dziś dnia nie zdołał wykorzenić. Jego nazwa — *Camorra.*

Nie jeden z moich czytelników radby się może dowiedzieć, co to wyrażenie oznacza. Odpowiem, że pod słowem *camorra* trzeba rozumieć wielkie stowarzyszenie rzezimieszków, które w Neapolitańskiem ogarnęło całe społeczeństwo.

Kamorzyści powiedziawszy sobie, że bez pracy także żyć można, zaczęli nakładać podatek na wszystkich i na wszystko. Urzędnik żyjący z pensji, ksiądz biorący zapłatę za msze i pogrzeby, wieśniak wracający do domu z pieniądzmi, które uzyskał w mieście za sprzedane wiktuały, słowem każdy musiał opłacać się członkom tego strasznego stowarzyszenia. Zdarzały się nawet wypadki, że człowiek wtrącony do więzienia, zastawał w swojej izbie kilku kamorzystów, którzy lubo zamknięci za rozmaite zbrodnie, umieli tak przestraszyć nowego swego towarzysza, że ten przewidując bądź bezustanne sekatury, bądź nawet uduszenie w nocy, dawał im rewers na kwotę umówioną, którą po wyjściu na wolność najrzetelniej musiał uiścić. Kamorzyści więzienni, zostając w bezustannych stosunkach ze swymi wspólnikami w mieście, otrzymywali od nich noże, trucizny, pieniądze, i zbrojni w te środki, robili potem co chcieli. Bunty, morderstwa wewnątrz murów więziennych, wreszcie wyłamywania się i ucieczki były na porządku dziennym.

Kamorzyści maltretowali społeczeństwo, a ono milczało płacąc i nawet nie szemrząc. Pieniądze zaś ściągali w dwojaki sposób. Bądź przychodzili otwarcie, w dzień biały, bądź wskazywali miejsce, gdzie podatkujący miał złożyć przypadającą nań kwotę. I nikt się nie uchylał

gdyż nie wiedział czy jego własny służący lub właściciel pałacu, w którym mieszkał, nie jest członkiem *camorry*; nikt także nie domagał się opieki policji, ponieważ i ona była w zmowie z kamorzystami. Osoby, które dłuższe lata mieszkały w Neapolitańskiem, zapewniają, że nawet między dworakami Ferdynanda i Franciszka, znajdowali się kamorzyści...

Camorra atoli nie ogarnęła całego półwyspu; stałem jej siedliskiem pozostało do końca królestwo Neapolitańskie, gdzie krocie biednych a wiecznie próżnujących lazaronów, dostarczały jej coraz nowszych zwolenników. Zdarzało się jednak, że na wzór *camorry*, od czasu do czasu zawiązywały się także towarzystwa rzezimieszków w niektórych miastach środkowych Włoch. I tak w r. 1864 toczył się w Bolonji olbrzymi proces, którego byłem naocznym świadkiem. Pobłażliwy czytelnik pozwoli, że go tu opowiem w streszczeniu.

Począwszy od r. 1848, Bolonia należała do najniebezpieczniejszych miast na całym półwyspie. Zabudowana na wzór wszystkich miast starych, nie ma ona ulic szerokich i prostych, a portyki znajdujące się przy najmniejszem nawet domostwie, robią ją smutną, ponurą. Za rządów papieskich, a więc aż do r. 1861 oświetlenie miasta było tak niedostateczne, że w nocy o pięć kroków nie można było nic rozróżnić. Otóż w tym starym grodzie zawiązała się szajka rozbójników, która przez dwadzieścia lat, bo aż do wiosny r. 1864 hulała bezkarnie.

Jeżeli kto wygrawszy w kasynie lub w kawiarni kilkaset lirów, niebacznie sam jeden powracał nocą do domu, mógł być pewnym, że gdzieś na skręcie ulicy spotka dwóch albo trzech przechodniów bardzo przyzwoicie ubranych, z których jeden zbliży się uprzejmie prosząc o ogień do cygara, lub pytając o godzinę, podczas gdy drudzy chwycą go za ręce i w mgnieniu oka zabiorą wszystko co będzie miał przy sobie. O obronie najczęściej mowy być nie mogło, gdyż napadnięty bądź czuł na gardle ostrze noża, bądź widział przed sobą lufkę pistoletu. Nieraz zdarzało się także, że dorożkarz wiozący z kolei albo jakiej zabawy bogatszego obywatela, musiał nagle stanąć, z po za kolumn bowiem wyskoczyło kilku mężczyzn, którzy przytrzymawszy konia, sięgnęli potem do kieszeni jadącego i wszystko mu zabrali. Zamachy zaś swoje uskuteczniali tak szybko, że nieraz o sto kroków nie wiedziano, co się stało na ulicy. W pogadanki ci panowie wcale się nie bawili. Na ustach mieli tylko jeden frazes:

— Daj co masz i milcz, bo zginiesz!

Kto się opierał, w rzeczy samej ginął. Jednej nocy w r. 1860 zamordowano za to 17 osób. W kilka dni później dokonano także jednej nocy 78 napadów rozbójniczych, z których 8 w dorożkach i powozach. Cyfry te przekonywały każdego, że stowarzyszenie jest nadzwyczajnie rozgałęzione, a że nie zdarzyło się ani jeden raz, aby napadnięto jakiego biedaka, mieszkańcy mieli zatem słuszne podejrzenie, że rozbójnicy bolońscy muszą należeć do warstw najrozmaitszych kiedy o stosunkach finansowych każdego obywatela tak znakomicie byli pouczani...

Jeżeli Polakowi można czego odmówić — to pewnie nie odwagi.

Przekonał o tem Włochów p. J. który mieszka w Bolonji od r. 1848. Podczas gdy miasto jęczało pod teroryzmem rozbójników, których na całym półwyspie znano pod nazwą *Malfattori di Bolonia*, on jeden chodził spokojnie po najciemniejszych ulicach, i sam wracał nocą do domu, chociaż w kieszeni miewał nieraz po kilka tysięcy franków. Pan J. nie był czarownikiem, ani malfattorom nie płacił podatku, jak to inni czynili, aby sobie spokój okupić; pan J. był tylko człowiekiem odważnym i miał dwie krócice doskonałe, z któremi nie rozstawał się ani na chwilę. Ilekroć wstąpił do jakiej kawiarni lub restauracji, wyjmował natychmiast obie, a kładąc je przed siebie ostentacyjnie wołał na cały głos:

— Że też żaden z tych łotrów do mnie się nie zbliży! Tak bym mu w sam łeb palnął, że ani by sapnął!

Widocznie żaden z ptaszków nie chciał na sobie doświadczyć czy p. J. jest dobrym strzelcem, bo przez 20 lat żaden go nie zaczepił.

Raz, między dziesiątą a jednastą w nocy, do mieszkania pana J. wpadł jeden z jego przyjaciół. Blady był jak ściana, a trząsł się jak w febrze.

— Co się stało? — zawołał gospodarz.

— Ratuj mnie!

— Dobrze, ale co się stało?

— Muszę natychmiast wrócić do domu, a nie mogę, bo czekają...

— Kto?

— *Malfattori!*

— Zapewne masz pieniądze?

— Przed godziną wygrałem w kasynie 200 skudów... Wracając do domu zobaczyłem z daleka, bo dziś księżyc świeci, że stoi ich trzech czy czterech przy drzwiach mego domu...

Pan J. był człowiekiem uczynnym, zebrał się więc co prędzej, a opatrzywszy krócice, wziął przyjaciela pod rękę i wybiegł z nim na ulicę. Dom, do którego zmierzali, stał przy ulicy Borgo-Paglia, niedaleko pałacu Bentivoglio. Minąwszy ulicę de' Malcontenti, p. J. zobaczył w rzeczy samej kilka podejrzanych postaci, stojących pod arkadami przeciwległego domu. Wziąwszy krócicę w prawą rękę, a lewą ciągnąc swego towarzysza, który drżał jak liść osiczyny, przyspieszył kroku, zmierzając wprost do owej grupy podejrzanej. Światło księżyca padające od wschodu, pozwoliło rzezimieszkom poznać tego, który od tylu lat był ich postrachem. Pan J. nie zdążył jeszcze na drugą stronę, a malfattori zaczęli się już cofać i rozpierzchać jak duchy tajemnicze.

— Widzisz jak uciekają! — szepnął nasz bohater — dalej za tym jednym, który pomyka na prawo, a pewnie go dopędzimy!

Włoch, który teraz nabrał odwagi, puścił się także w pogoń. Rzezimieszek czmychał jak szarak, a nasi przyjaciele pędzili za nim jak sfora chartów. Na ulicy było pusto, ani żywej duszy. Koło bramy San Donato, pan J. zniecierpliwił się nareszcie, i krzyknąwszy po trzykroć: — „Stój! bo strzelam!“ dał ognia. Uciekający padł jak kłoda, i w rzeczy samej ani sapnął... Po strzale zjawiła się policja, podniesiono zabitego, ale o jego nazwisku nikt się nie dowiedział. Widocznie było to jakieś indywiduum zamiejscowe, które zostało zaciągnięte przez bolońskich rzezimieszków.

W opinji Włochów, p. J. urósł do niesłychanej potęgi, bo w ciągu dwudziestu kilku lat on tylko jeden ośmielił się targnąć na życie malfattora.

(C. d. n.)

AMAZONKI
w podaniu i dziejach.

Według Wilhelma Strickera opracował

WŁ. ORDON.

(Ciąg dalszy).

Nie brakło jednak w owym czasie i na niedowiarkach. Sebastjan Münster († 1552) w swojej „Kosmografji“ (wydanie z r. 1598 str. 1319) przytoczywszy baśni o Amazonkach, powiada: „Wciąż plotą o Amazonkach toż samo co przed laty. Ja jednak temu wszystkiemu nie mogę uwierzyć. Trudno mi bowiem pojąć, ażeby gdzieś mogło istnieć państwo złożone z samych kobiet, i ażeby te kobiety nie tylko groźnemi były swoim sąsiadom, ale nawet wyprawy przez Pontus do Attyki czyniły.“

A jednak misjonarz Gili, z nad Orinoco, opowiada: „Gdym spytał jednego Indjanina z plemienia Qua-qua, jakie plemiona mieszkają nad Cuchivarą, pomiędzy innemi wymienił mi jedno nazwiskiem „Aikeam-benanoes.“ Ponieważ znałem dobrze język Tamanac, wpadło mi więc natychmiast pod uwagę, iż imię to znaczy: „Kobiety samotnie żyjące.“ Indjanin potwierdził moje spostrzeżenie i dodał, iż Aikeam-benanoes są hordą kobiet, uzbrojoną w rury do wydmuchiwania pocisków, w łuki i inne mordercze narzędzia. Dozwalają one mężczyznom z sąsiedniego plemienia Boke-aroés raz na rok do siebie przystępu. Wszystkich zaś ztąd zrodzonych chłopców zabijają.

Ryszard Schomburgk przekonał się, że takież same pojęcia panują i w Gujanie angielskiej. „Znajdujemy — powiada on — podobne tradycje u Macusisów a również pomiędzy Arawaaksami nad Demerarą. Naczelnik tych ostatnich opowiadał mi, że brat jego, mieszkający na drugim brzegu rzeki, odwidzał raz Amazonki i otrzymał nawet od tych „Wirisamoo“ jak one się same nazywają — jeden z owych rzadkich zielonych kamieni w podarku.“

I tu następują znane już i tylekroć powtarzane szczegóły o dzieciach płci męzkiej itd. itd.

„Mieliśmy nadzieję — ciągnie Schomburgk dalej — zebrać bliższe i pewniejsze wiadomości o tych bajecznych kobietach, aleśmy się zawiedli. Sądzimy jednak, że powodem tej tak rozpowszechnionej tradycji, jest wojownicze usposobienie kobiet Nowego Świata. W Essekibo istnieje dziś jeszcze ogólne podanie, iż Karibom w wojnach towarzyszyły kobiety, używające do napaści nietylko strzał i łuku, ale i maczug. Nie ma w tej dzielności nic nieprawdopodobnego, jeżeli się wspomni na bolesne próby, którym Karibowie poddają swoje dziewczęta. Ranią je i rany nacierają pieprzem; zmuszają do postów, długiego milczenia itd. a one wszystko to z niesłychaną znoszą stałością.“

Kwestja wojennego uzdolnienia kobiety stała się nawet przedmiotem uczonych rozpraw. I tak Henryk Kornman z Kirchhain w Hesji napisał specjalną broszurę pt. „Num virgo possit esse miles armatus?“ (Czy dziewica być może żołnierzem), w której rzecz tę poważnie rozbierając, oświadcza się przeciw, i przy tej okoliczności wymienia niemieckie niewiasty, które wzięły udział w krzyżowej wyprawie cesarza Konrada, oraz Dziewicę Orleańską i królowę angielską Elżbietę.

Kornmanna współcześnik i ziomek Jo. P.

Lotichius, doktor i profesor na uniwersytecie w Rinteln, poświęca także przedmiotowi temu rozdział w dziele swojem i wylicza jako Amazonki: Deborę, Judytę, Penthesileę z jej hufcami, Semiramidę, Hippolitę, Zenobję, Hypsikrateę-żonę Mitridatesa, Kandaceę-królowę Maurów, Artemizję-żonę Mauzolusa, uczestniczkę walki pod Salaminą; Tomyrę, królowę Skytów, pogromczynię Cyrusa; Kamillę, władczynię Wolsków, sprzymierzoną z Turnusem przeciw Trojanom (Enejda XI. 523); Kleopatrę, Teukę w Illirji, Walaskę w Czechach, Amalazunthę, królowę Gotów i wreszcie „nową angielską Semiramidę“ królowę Elżbietę.

U Lotichiusa znajdujemy także pierwszą wzmiankę o kobiecych strażach przybocznych.

„We wschodniem państwie Cousam (?) — powiada on — króla nie strzegą mężczyzni, jeno 500 kobiet, łukami zbrojnych i płatnych za tę służbę, co szczegółowo opowiada Odoardus Barbarossa.“

Takie gwardje przyboczne i dziś jeszcze można znaleźć. I tak Anglik John Dunkan w dziele swojem „Trawels in western Africa 1845 and 1846“ pisze: „Król Dahomeju, ma 10 pułków po 600 głów, a więc razem armję 6.000, złożoną z kobiet jego haremu, które już tam wybyły lat 20. Naczelnikiem tych pułków, których ćwiczeniom opowiadający to był obecny, jest faworyta królewska. Kobiety te mają głowę ogolona całkiem lub w części; noszą suknię w białe i niebieskie pasy bez rękawów, dochodzącą do kolan, a do tego krótkie spodnie, ładownicę na pasie, krótką szablę, rodzaj maczugi i długą duńską strzelbę. Ćwiczenia rozpoczynał cały pułk od odśpiewania hymnu na cześć króla. Poczem występowały Amazonki z kolei, jedna za drugą przed front i składały królowi wyraz wierności swojej, co ciągnie się tak długo, iż przegląd jednego pułku trwał nieraz trzy godziny. Po skończeniu zaś tej ceremonji upadają wszystkie twarzą na ziemię i drapią pył, który będąc czerwonej barwy, daje im następnie przerażającą minę.“

Jeżeli teraz zwrócimy się do bohaterek wojennych w rozmaitych krajach, to najprzód znajdziemy w Hiszpanji, obok kobiet saguntckich i numantyjskich, obok Marji Pacheco, żony ściętego w 1521 r. za bunt przeciw Karolowi V. Juana de Padilla, która nie dawała Toleda przez sześć miesięcy wojskom królewskim, znajdziemy żołnierza awanturnika płci żeńskiej. Jest nim Catalina de Crauso, zwana „Zakonnica-Chorąży,“ która swoje przygody własnoręcznie opisała. Wzmiankę o niej podaje także Gil Gonzalez Davila w swojej „Historji Filipa III.“ Prawdopodobnie nazwisko Cataliny de Crauso było przybranem. Urodziła się ona w 1580 r. w kraju Basków. W 1602 uciekła z klasztoru, udała się okrętem do Ameryki i jako chorąży brała udział w bitwach pod Paicabi, pod Purem w 1608 i pod Callao w 1615 roku, w 1624 powróciła do Hiszpanji, i tu w 1625 swoją autobjografję wydała. Następnie objechała Włochy i wybrała się znowu do Ameryki w 1626 roku. Ostatni raz widziano ją w Veracruz w 1645. Jako mężczyzna nosiła nazwiska: Pedro de Orize, Francisco de Loyola i Alonzo Diaz de Guzman. Przy okazji ciężkiej rany, którą odniosła w Peru, odkryto płeć jej rzeczywistą. Wysłużyła lat 15 i otrzymała za to pensję 500 piastrów, a okrom tego odbyła szczęśliwie niezliczoną ilość pojedynków i wielu z przeciwników swoich pozabijała. Budowy była krępej, piersi niewydatnych, zmniejszyła je bowiem — jak sama twierdzi — za pomocą silnych opasek.

U wszystkich jednak narodów najwięcej bohaterek dostarczyły walki o niepodległość. Kobiety zagrzane miłością ojczyzny chwytały za broń i sprawiały się w bitwach nie gorzej od mężczyzn. Znaną jest powszechnie i wsławioną nawet obrazem bohaterka narodowej wojny hiszpańskiej przeciw Napoleonowi, Augustyna, „dziewczyna z Saragossy.“ Doszła ona do stopnia oficera i pozyskała wiele orderów. Jej postać w tej wojnie nie jest jedyną. Podczas bohaterskiej obrony Gerony w r. 1809 utworzyły się dwie kompanje z kobiet starszych i dziewcząt: św. Barbary i św. Agaty, które chociaż nie walczyły, tylko zajmowały się podawaniem amunicji i uprzątaniem rannych, jednakże narażone były na tak gwałtowny ogień nieprzyjaciół, iż wiele z nich rany odniosło, lub życie utraciło. W 1835 roku wstąpiła hiszpańska dziewczyna, Paula Samajon, jako ochotnik do 13 pułku linjowego, i przez całe 7 lat brała udział we wszystkich bitwach. Odesłano ją, skoro się płeć jej odkryła.

Również i amerykańscy Hiszpanie zacytować u siebie mogą wiele podobnych przykładów. I tak pomiędzy innemi, gdy Augustyn Gamarra, prezydent Peruwji, w 1834 r. zarzucony przez pospólstwo w Lima kamieniami, stał na Plaza Major, jęcząc i nie wiedząc co czynić, nagle rzuciła się ku niemu żona jego, Francisca Subyaga, wyrwała mu szpadę z pochwy, stanęła na czele wojsk i zarządziła odwrót w porządku, który był jedynym środkiem ocalenia reszty sił rządowych. Zdarzenie to przypomina żywo bohaterską decyzję naszej Chrzanowskiej podczas oblężenia Trębowli. (C. d. n.)

Z dziedziny nauk przyrodniczych.

przez

Dr. Z. Rościszewskiego.

III.

Przechadzka na dnie morza.

„Die Natur schafft ewig neue Gestalten; was da ist, war noch nie; was war kommt nicht wieder. Alles ist neu, und doch immer das Alte... Es ist ein ewiges Leben, Werden und Bewegen in ihr. Sie verwandelt sich ewig, und ist kein Moment Stillstehen in ihr...“ *Goethe.*

Co jest wspanialszem jak natura, a co więcej zajmującem i co ciekawszem nad jej tajniki, nad zjawiska, które ona jakby przed śledczem naszem okiem gdzieś w głębiach morza ukryć się starała?! Od najdawniejszych czasów, tych tajemnic badanie roskoszą napawało wyższe umysły i było źródłem poezji, a dla umiejących korzystać z obfitego tego skarbca i zręcznych ludzi: drogą do sławy i do władzy. Owi dawni tłumacze bóstwa, owi czarnoksiężnicy, prorocy, na których skinienie sfanatyzowane masy zabobonnego ludu szły w ogień i wodę — byli przyrodnikami! Mojżesz, Salomon, Plato, Arystoteles, Pitagores, Aleksander Wielki i wielu mężów, sławnych wodzów i nauczycielów ludu, mędrców i filozofów, siłę swej władzy i rozumu w badaniu przyrody czerpali.

Z tego też punktu wychodząc, na chwilę powątpiewać nie mogę, abyście wy szanowni Czytelnicy już znużeni być mieli, abyście nadal już nie chcieli z tej tak głęboko zanurzonej księgi czarodziejskiej czerpać wielkiej prawdy światło!

Przejdźmy się więc jeszcze po tym podwodnym ogrodzie, którego aleje majestatycznemi drzewami z korali są wysadzone, a z którego przepychem i pięknością ani starożytne Babilonu wiszące sady, ani nowoczesnej sztuki ogrodnicze arcydzieła iść w zawody nie mogą — przejdźmy się i posłuchajmy, co nam ich szczęśliwi mieszkańcy opowiedzą.

Te twarde jak marmur i rzeczywiście jak ten, z węglanu wapniowego złożone szlachetne korale, te misterne sześcioramienne *tołpie* (madreporaria), *astry*, owe *gorgonidy* czyli *gęścioły* ośmioramienne, *Isis* i *Veretillum* i te wszystkie do gromady korali należące rzędy (Rugosa, paranemata, cauliculata, halirhoda etc) i rodzaje (cyathophyllum, antipathes, actinia etc), wszystkie one rozpoznać dadzą po bliższem się im przypatrzeniu pewnego rodzaju zagłębienia. Zagłębienia w tysiącznych kształtach! Tam w rurki, gwiazdki, dziurki, tu w postaci blaszek, komórek są ułożone, a wszystkie one głównie do kształtu, do budowy całego ustroju się przyczyniają. Te wszystkie siatki, dołki i zakręty tysiącznych kształtów, te wszystkie wklęśnienia, wyniosłości etc. stanowią, iż do jednej gromady należące ustroje, w najróżniejszej postaci egzystują.

W tych to wydrążeniach właśnie mieszka zwierzę, polip czyli kwiat koralowy, a wapienna ta, twarda jak kamień materja, to tylko produkt zwierzęcia, to jego własnej budowy domek, twierdza niejako, w której ukryty od napaści nieprzyjaciela, spokojnie dni swego pracowitego żywota przepędza!

Jakeśmy już dawniej widzieli, to korale prowadzą życie towarzyskie, a zbierając się w liczne kolonje, tworzą nakształt ludzkich społeczeństw całe osady — miasta, drzewa i krzaki, kwiaty i całe ogrody.

Otóż wyobraźcie sobie owego małego, galaretowatego polipa, to znikome i nikczemne zwierzątko, zaledwie wielkości ziarnka pszenicy, wyobraźcie sobie, że ono jest początkiem tych prześlicznych rozmaitych kształtów zwierzokwiatów, ono jest początkiem nawet wielu wysp Oceanu. Nieprawdopodobne a jednakże prawdziwe!

Oderwany od macierzystego pnia polip, wędrówką zmęczony samotną, rzuca się w przepaść bezdenną morza, postanowiwszy wypocząć na pierwszej lepszej skale, założyć ognisko domowe i... dla dobra ogółu pracować. Tak przyklejony na dnie przepaści, nagi, bez odzienia osobnik od dołu twardnieć poczyna, przykrywając galaretowate swe ciało coraz grubszą, coraz twardszą wapienną powłoką. Od dołu coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie przyzwoicie odziany i własny już domek mając zapragnął towarzysza. Lecz i tego mu nikt nie da, nie zlituje się nad nim żadna morska sylfida, ani żadna z czarodziejskich bogiń wodnych — Najada! On musi i towarzysza sam sobie dostarczyć. A więc jak drzewo w ziemi osadzone, pączki puszcza, z których się później gałęzie rozwijają, tak i nasz polip do skały przyrośnięty od góry nabrzmiewa, wydaje pączek, rozwija go, z którego później brat, towarzysz mu wyrośnie—dziecię jego własne. I w ten sposób stał się matką, pniem przyszłej kolonji, pniem drzewa całego, którego liczne pokolenia potomków znów się tak samo mnożą i rozgałęziają.

I tak widzicie, jak mała z początku osada z architektoniczną znajomością i biegłością budując swe komórki i celki, wspólny gmach wznosi i rozpościera, — gmach, który wreszcie do ogromnych dochodzi rozmiarów, tworząc podwodne góry i skały, *rafy koralowe*, tak dla żeglugi niebezpieczne.

Rafy te z wód wynurzone stanowią wyspy jak n. p. Towarzyskie, Przyjacielskie na morzu Południowem.

Sądzono dawniej, iż wieków potrzeba na taki ogromny koralów pracy rezultat, dziś jednak już wiemy, że niedługich kilka dziesiątków lat wystarczy do utworzenia rafy podwodnej. Zatopione i w kilkanaście lat potem wydobyte okręty są najlepszym tego dowodem. Nie raz wydobywano je już na kilkanaście cali warstwą koralów pokryte, a spodziewać się można, że im liczniejsze pokolenia osobników się rozwinęły, tem raźniej, tem prędzej postępuje robota.

Plan całej roboty zawsze postępuje podług podanego przez pierwszego osobnika, a trzyma się zawsze w granicach kształtów pojedynczych polipów. Jeżeli polip postać ma gwiazdki, pozostawi w pniu do niej podobną dziurę, jeżeli jest płaski lub okrągły, stosowną wyrzeźbi po sobie ścieżkę.

Na wynurzonych z pod wód powierzchni chropawych tych skałach wapiennych, łatwo się zatrzymują wiatrem lub wodą przyniesione nasiona. Nie długo też powierzchnia tych nowopowstałych wysepek, różnemi wodorostami (Algae) się pokrywa. *Morszczyny* (Fuous) i *krasnorosty* (Florideae), rozmaite *mchy wodne* (Characeae) i *paprocie* (Rhizocarpeae) znajdują tu dla siebie urodzajną niwę, aż wreszcie nagromadzone rozkładają się, a przez to tworzą dla wyżej uorganizowanych roślin rodzajną warstwę, na której też wyrzucone przez falę morską, lub przez ptaka upuszczone ziarnka prędko kiełkują, bujną zielenią pokrywając ten grzbiet chropawy koralowej wyspy! I tak ten mały, galaretowaty polip, początkiem jest wyspy! Dziś już tylko wapienna jego sukienka gdzieś na dnie morza pozostała, on zaś dawno żyć przestał, pozostawiwszy w spadku tysiącom następujących po sobie pokoleń dokończenie przez się rozpoczętej roboty. — Lecz nie sądź piękna Czytelniczko, aby wyspy wspomniane z tego samego korala były, z którego ty paciorkowy naszyjnik na białe swe łono zawieszasz, lub który oprawny w złoto, drobne twe paluszki zdobi — nie, to za pospolity dla Ciebie, nieszlachetny, biały, ciemny, żółtawy, a ty różowego wymagasz! Koral czerwony to drzewko gałęziste, nie wyższe nad stopę lub dwie, którego gałązki konarom odpowiadające, często są na dole, czyli znajduje się w położeniu nieraz przewróconego drzewa. Miejsce jego pobytu w głębiach, nigdy nad powierzchnią wód—a połów połączony jest z narażeniem się na tysiące niebezpieczeństw, których ty tak bardzo od nas wymagasz!

Lecz idźmy dalej, użyjmy tego zachwycającego, wspaniałego widoku pośród prześlicznych podwodnych ogrodów, które nie sztuką ludzką powstały, ani siane, lub sadzone ręką człowieka, lecz natury są dziecięciem i to... ulubionem, bo skryła je nawet przed żądnym wzrokiem człowieka! — Otóż prócz tych ogromnych na sto lub dwieście stóp wysokich drzew koralowych, grzebienic, gąbek wapniowych, rogowych, pokrytych żywemi kwiatami, których długie chwytne ramiona ciągle w wirowym są ruchu, owych majestatycznych skał wapiennych uiluminowanych tysiącem świateł samorodnych — świateł, których przyczyną blask fosforyczny wielu w morzu żyjących ustrojów jak np. świetliczek (Noctilucae),— u stóp otchłani widzimy w pośród delikatnej siatki z moner, ułożonej jak tkanka pajęcza, lub koronka brabancka, prześliczne wodorosty, które znów jakby kobierzec różnobarwny rozścielają się na dnie morza.

Wśród mchów i paproci wodnych, małe stosunkowo, jak poziomki w naszych lasach, tam wyrastają czerwone, szlachetne korale. A każdy krzaczek, każde drzewko, na kształt wiśni kwitnącej, białemi bukietami z ruchomych polipów przystrojony. Tam widzisz róże kamienne, tu astry, tam spokojnie w piasek zagrzebującą się płaszczkę jaką — *flądrę*, tu ruchliwą i wesołą a lśniącą jak złoto rybkę igrającą, lub jaką *rozgwiazdę* (asterida), której każdy promień osobnego nam przedstawia osobnika. A wszystko ciche, spokojne, wesołe, nigdzie nie znać tej „walki o byt,“ jaką stworzenia te z konieczności prowadzić muszą, i żaden uszu twych nie dojdzie dźwięk, żaden odgłos, choćby najstraszliwszego huraganu u góry. Idziesz dalej, spotykasz *połomki* (Isis) lub *gęścioły* (gorgonida) i *oczary* (antipathes) owe miękkie, czarne zwierzokrzewy, tam z wątłopławów (leptomedusae) ogromne mnóstwo małych *rozkrzelinek* (sertularia), tu prześlicznego kształtu *kielichopławy* (calicozoa) jakby cię zapraszały do wspólnej uczty, ciągle nachylając się ku tobie.

Pomiędzy mchem i wodorostem spostrzegasz purpurą sławne *szkalatniki* (murex, buccinum), lub inne najświetniejszych barw muszle, szczególnie w morzach podzwrotnikowych okolic.

Tak jak na ziemi widzimy, że cała żyjąca natura pod zwrotnikowem słońcem żywością barw o stokroć naszą przewyższa, tak samo dzieje się i w morzu. Owe króle morza przybrane w złoto i purpurę jak *stożek admiralski* (conus admiralis), lub przepyszne *stożki niezrównane* (conus cedo nulli) i inne muszle, z których wspaniale malowanych sukien błyszczą wszystkie ognie tęczy i drogich kamieni—to nie umiarkowanego klimatu mieszkańce! I w rzeczywistości mięczaki (mollusca) bądź nagie, bądź w muszlach są podobno najbogatszemi w kolory zwierzętami.—Lecz nadewszystko zwraca twoją uwagę stworzenie, u którego nic więcej nie widzisz tylko głowę, ubraną wieńcem długich ramion, służących w miejsce nóg, a w głowie duże czerwone oczy, które wśród tych podwodnych ciemności jak węgiel żarzący błyszczą. Jest to jedno ze stworzeń do głowonogich (cephalopoda) należące, które są czwartą i najbardziej rozwiniętą gromadą mięczaków. Chcesz lepiej poznać, te głowonogie mięczaki, przybliż się do nich i zobacz, że u jednych ośm ramion giętkich, jakby rzemiennych postronków, u drugich dziesięć, u innych więcej, a u wszystkich stanowią one kształt wieńca, otaczającego usta. Ten piękny *łodzik* (nautilus pompilius), który jakby z perłowej macicy był cały, tak lśni i błyszczy tysiącem barw rozmaitych, ten *żeglarek* (argonauta argo) i *mątwa* (sepia officinalis), to główne dzisiejszych głowonogich przedstawiciele. Zbliżasz się powoli, ostrożnie, i chcesz mątwę w rękę uchwycić. Już zdaje ci się, żeś był blisko zdobyczy; w tem nagle woda jak atrament czarna... i mątwy nie widzisz i ręki własnej. Mątwa gdzieś daleko odpłynęła a ty z próżną ręką zostałeś! Lecz nie dziw się czytelniku, to jej jedyna obrona, ta chmura czarnego płynu, którą po sobie zostawia, inaczej musiałaby pastwą stać się czyhających na życie jej ryb. Posiada ona pęcherz cały tego cenionego przez Chińczyków i Japończyków czarnego płynu. W niebezpieczeństwie przelęknione zwierzę ściska pęcherz i ucieka, pozostawiając swego nieprzyjaciela wśród zupełnej ciemności, osłupiałego i niezdecydowanego. Chińczycy łowią to stworzenie, z którego wydobywają ów czarny płyn i susząc go z klejem ryżowym, wyrabiają tak zwany tusz chiński.

A dziwne jest życie głowonogich. Pyszczek z dwóch kościanych szczęk złożony, ma kształt dzióba drapieżnego ptaka, cała głowa wychodzi z pewnego rodzaju worka, a ramiona opatrzone są brodawkami lśniącemi. I któż by pomyślał, że stworzenie to jest zwinne i zręczne, że jest tak silne iż najtwardsze muszle pękają w uścisku jego ramion. Te brodawki, któremi są ozdobione ramiona, to bańki powietrzem napełnione, które stosownie do woli zwierzęcia albo się wypełniają i są wypukłe, albo wypróżniają i są wklęsłe; działać więc mogą jak u innych zwierząt ssawki. I za pomocą ich zwierzę tak mocno przylega czy to do skały, czy do ofiary przez się wybranej, iż prędzej można rozerwać ramiona mątwy, niż ją ofiary pozbawić. Pochwycona zdobycz, np. ostryga przez mątwę, naprzód silnemi jej ramionami zostanie zaduszoną, rozgniecioną, nim będzie pożartą. — Ruch mątwy za pomocą tych samych ramion, jest tak szybki, iż w jednej prawie chwili widzieć ją można na powierzchni morza swobodnie pływającą, to znów na dnie, gdzie w dół głowę spuściwszy, powoli się przechadza. Za pomocą dwóch dłuższych ramion, opatrzonych tylko na końcu bańkami powietrznemi, przyczepia się do skał i kamieni, wysławszy pozostałe chwytne ramiona na upolowanie zdobyczy, które też, choćby w najciemniejsze wydrążenia sięgają, jeżeli tam pokarm znaleźć mogą. Głowonogie posiadają zęby i słuch, czego innym mięczakom brakuje. A kość ich płaska z węglanu wapniowego, miękka, która w grzbiecie mątwy się ukrywa, powszechnie znajoma pod nazwą kości sapii, używaną bywa do szlifowania i t. p.

Dzisiejsze głowonogie, są tylko słabemi przedstawicielami olbrzymiej ilości kształtów, w pierwotnym, pierwszorzędnym i drugorzędnym okresie. Liczne skamieniałe *kołotoki* (amnonites), *łodziki* (nautilus) i *belemnity* (belemnites) świadczą o świetności tego rodu w ubiegłych czasach!

Dalej widzisz rozmaitego kształtu muszle, podnosisz najniepokaźniejszą i o dziwo! otworzywszy ją, znajdujesz wewnątrz prześlicznego blasku perłę prawdziwą. Sądząc, że to wypadek, sięgasz po drugą, otwierasz, znajdujesz to samo. Tak to perła, wątpliwości żadnej nie ma, lecz zkąd ona na dnie morza, zkąd w muszli tak pospolitej? — Cierpliwości, za tydzień się dowiesz.

PRZY KOMINKU.

Ciemna, zimna noc jesienna
Ponad miastem zwisła gwarnem;
Przy węzgłowiach czuwa senna
Cicho wiejąc skrzydłem czarnem.

Gwiazdki bladej łzawe oko
Wyjrzy czasem z chmur osłony...
I znów kryje się głęboko
W mgłe tajemnic nieskończonej.

Na kominku ogień błyska.
Z głębi cieniów przez pustotę,
Jak z czarnego uroczyska,
Wyskakują iskry złote.

Jak ogników błędne roje
Mkną, pląsają, płoną, bledną,
To się w barwne plotą zwoje
To zlewają w jasność jedną.

Cicho... tylko trzeszczą głownie...
Lecz bezsenny duch mój słyszy
Wszystkie dźwięki, co cudownie
Drżą na strunach nocnej ciszy.

Myśli moje, pieśni moje,
Gwarząc jedno, wiecznie jedno,
Jak tych iskier złote roje
Mkną, pląsają, płoną, bledną.

Mokra rzewną łzą powieka
Dziwnie stapia ognia błyski,
Z błyskiem myśli co ucieka
W młodocianych snów uściski.

W pośród chmur jak promień bieży
Strojna w uśmiech zapomniany...
I znów kocha, i znów wierzy
Świat witając dawno znany.

Lat dziecięcych modła tkliwa
Na jej ustach znowu gości —
A z niebiosów srebrny spływa
Anioł ulgi i litości.

Widzę, widzę jak schylony
Nad ludzkiemi płynie duchy—
Ocierając pot skrwawiony
I snów miękie sypiąc puchy.

Coraz ciszej... Myśl omdlewa
Jak znużony ptak w podróży,
Echo wspomnień słabiej śpiewa...
Ach! ten łoskot? To jęk burzy

Dziko zgłuszył śpiew słowiczy!
Ścichły lutnie mych aniołów—
A z marzenia — łza goryczy...
A z ogniska — garść popiołów!...

25. Marca 1875.

Marja B.

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

Opuszczony.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XII.

(*Ożaglowanie statku. — Napad kulpesów. — Jow ranny. — Jow w leczeniu. — Jow wyleczony. — Dokończenie statku.— Tryumf Pencroffa.—„Bonawentura.“— Pierwsza próba w południowej stronie wyspy. — Niespodziewany dokument.*)

Tegoż samego wieczora powrócili myśliwi z udałego polowania, dosłownie obciążeni zdobyczą, tak iż każdy dźwigał za czterech ludzi. Top miał różaniec z krzyków zawieszony na szyi, a Jow przepaski z cyranek i nurków.

— To mi się nazywa robota — zawołał na ten widok Nab — będzie czem czas zająć! Narobi się konserw, pasztetów, i innych miłych zapasików! Ale ktoś musi mi w tem pomódz. Liczę na ciebie, Pencroffie.

— Ani myśl o tem, Nabie — odparł marynarz. — Ożaglowanie statku wymaga mojej ręki, musisz się więc obyć bezemnie.

— A pan, panie Harbert?

— Ja, Nabie, muszę iść jutro do obory — odparł młodzieniec.

— Więc pan mi chyba pomożesz, panie Spilett?

— Dla zobowiązania cię, Nabie, i owszem — odpowiedział korespondent. — Uprzedzam cię tylko, że skoro mi odkryjesz swoje przepisy kuchenne, rozgłoszę je publicznie!

— Jak się panu podoba, panie Spilett — odparł Nab — jak się panu podoba!

I oto w jaki sposób nazajutrz, Gedeon Spilett, zamieniony w pomocnika Nabowego, zainstalował się w jego pracowni kuchennej. Przedtem jednak, inżynier opowiedział mu rezultat wczorajszych swoich poszukiwań, i korespondent najzupełniej zgodził się z inżynierem pod tym względem, iż pomimo, że się nic nie znalazło, jakiś sekret pozostaje do odkrycia.

Mrozy trzymały jeszcze przez cały tydzień i osadnicy nie opuszczali Pałacu Granitowego, chyba aby opatrzeć kurniki. Całe mieszkanie napełniło się wybornemi zapachami, pochodzącemi z mądrych manipulacyj Naba i korespondenta. Całego jednak owocu polowania na błotach nie zamieniono w konserwy, lecz ponieważ zwierzyna wśród tak mocnego zimna utrzymywała się doskonale, pozjadano kaczki dzikie i inne ptactwo na świeżo, i całe grono uznało je za wyższe od wszystkich ptaków wodnych całego znanego świata.

W ciągu tego tygodnia, Pencroff, przy pomocy Harberta, używającego doskonale igły, pracował z takim zapałem, że ożaglowanie statku ukończonem zostało. Lnianego materjału na to nie brakło, dzięki siatce odnalezionej razem z pokryciem balonu. Liny i sznury sieci skręcone były z wybornego materjału, który marynarz potrafił wyzyskać. Żagle zostały obrąbione silnemi sznurami, i pozostało jeszcze dosyć materjału na ściągacze do podnoszenia żagli, liny idące w drabinkę od wierzchu masztu, sznury u spodniego rogu żagla itd.

Co do bloków, te idąc za wskazówkami Pencroffa, wyrobił Cyrus Smith na tokarskiem kole.

Całe więc ożaglowanie gotowe było jeszcze przed ukończeniem statkn. Pencroff sam osadził flagę błękitną, czerwoną i białą. Kolory te wydobyto z niektórych roślin farbierskich, znajdujących się w obfitości na wyspie. Ale, do trzydziestu siedmiu gwiazd, przedstawiających Stany Zjednoczone i błyszczących na pawilonach amerykańskich, marynarz dodał jeszcze trzydziestą ósmą „gwiazdę Stanu Lincoln;“ uważał bowiem wyspę swoją jako już przynależną do wielkiej rzeczypospolitej.

— I — mawiał — i jest nią z serca, jeżeli nie jest jeszcze z faktu!

Taki więc pawilon wywieszono z głównego okna Pałacu Granitowego i osadnicy pozdrowili go trzykrotnem hurra!

Wśród tego zbliżył się koniec pory chłodnej i zdawało się, że ta druga zima przejdzie bez ważnego wypadku, gdy naraz w nocy 11go sierpnia, Wielka Terasa zagrożoną została zupełnem spustoszeniem.

Po dniu dobrze zapełnionym, osadnicy spali głęboko, gdy nagle około czwartej nad ranem, zbudziło ich gwałtownie zapalczywe szczekanie Topa.

Na ten raz pies nie szczekał przy otworze studni, ale przy drzwiach i rzucał się na nie, jakby je chciał wybić. Jow także ze swojej strony wydawał dzikie okrzyki.

— A to co, Topie? — zawołał Nab, zbudziwszy się pierwszy.

Ale pies nie przestawał ujadać z rosnącą zaciekłością.

— Cóż to takiego? — spytał Cyrus Smith.

I wszyscy, ubrawszy się na prędce, rzucili się do okien i otworzyli je.

Przed nimi roztaczała się płaszczyzna śnieżna, ledwo wydająca się białą, tak noc była ciemna. Osadnicy nic nie zobaczyli, ale usłyszeli dziwne szczekanie, wybuchające z głębi ciemności. Widocznem było, że wybrzeże zalane było przez pewną ilość zwierząt, których nie można było rozpoznać.

— Co to jest? — wykrzyknął Pencroff.

— Wilki, jaguary, lub małpy! — odpowiedział Nab.

— Do djabła! Ależ one mogą się dostać na Terasę! — rzekł korespondent.

— A nasze kurniki — zawołał Harbert — a nasze plantacje?

— Którędyż one się tu dostały? — spytał Pencroff.

— Przez mostek od strony wybrzeża — odparł inżynier — który widocznie ktoś z nas zapomniał zamknąć.

— W istocie — rzekł Gedeon Spilett — przypominam sobie, żem go zostawił otworem.

— A toś się pan pięknie spisał, panie Spilett! — krzyknął marynarz.

— No, co się już stało, stało się — odrzekł Cyrus Smith. — A teraz pomyślmy, co czynić!

Takie zapytania i odpowiedzi szybko przelatywały z ust Cyrusa i jego towarzyszy. Pewną było rzeczą, że przez mostek otwarty dostały się zwierzęta na wybrzeże i zapełniły je, i że ktokolwiek one tam były, mogły po lewym brzegu Dziękczynnej dostać się na Wielką Terasę. Należało więc uprzedzić je i zwalczyć w razie potrzeby.

— Cóżto jednak za bestje? — odezwało się po raz drugi pytanie, w chwili gdy szczekania wybuchły z podwójną siłą.

Szczekania te wstrząsnęły Harbertem, i naraz przypomniał sobie, że słyszał je już raz w czasie pierwszej wizyty swojej u źródeł Czerwonego Potoku.

— To kulpesy, to lisy! — zawołał.

— Naprzód! — krzyknął marynarz.

I wszyscy, pochwyciwszy za topory, karabiny, rewolwery, rzucili się do windy i wnet stanęli na wybrzeżu.

Niebezpieczne to zwierzęta te kulpesy, gdy są w wielkiej liczbie i rozdrażnione głodem. Pomimo tego jednak, osadnicy nie wahali się ani chwili skoczyć w sam środek ich bandy, i pierwsze strzały z rewolwerów, rzuciwszy nagłe błyskawice w ciemności, zmusiły napastników do cofnięcia się.

Najważniejszem zadaniem było przedewszystkiem nie dozwolić tym rabusiom podnieść się aż do Wielkiej Terasy, ponieważ plantacje osadników i kurniki znalazłyby się na ich łasce, a ztąd wynikłyby niewątpliwie niezmierne szkody, szczególniej w zbożu. Ponieważ zaś wedrzeć się na Terasę nie mogły którędy indziej jeno po lewym brzegu Dziękczynnej, dostatecznem więc było stawić im nieprzyłamalną tamę na owej wąskiej cząsteczce wybrzeża, zamkniętej pomiędzy rzeką a ścianą granitową.

Pojęli to wszyscy dobrze i na rozkaz Cyrusa

rzucili się na oznaczone miejsce, podczas gdy gromada kulpesów szamotała się i skakała w ciemności.

Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Harbert, Pencroff i Nab rozstawili się tak, aby utworzyć linję niepodobną do złamania. Top z otwartą, przerażającą paszczęką swoją poprzedzał osadników, a za nim tuż postępował Jow, uzbrojony w guzowatą pałkę, którą potrząsał jak maczugą.

Noc była niesłychanie ciemna. Jedynie przy świetle wystrzałów, które musiały być celne, spostrzegano napastników. Była ich zapewne co najmniej setka, a oczy im świeciły się jak węgle żarzące.

— Nie trzeba ich przepuścić! — zawołał Pencroff.

— I nie przepuścimy ich! — odrzekł inżynier.

Jeżeli jednak nie przeszły, to nie dla tego, żeby były nie próbowały. Ostatnie rzędy parły pierwsze, i rozpoczęła się walka nieprzerwana na strzały z rewolwerów i ciosy toporów. Nie mało już kulpesów musiało zaścielać ziemię, a banda nie zdawała się zmniejszać wcale. Rzekłbyś, że wciąż jej przychodzą nowe posiłki od strony mostku.

Wkrótce osadnicy walczyć musieli pierś z piersią, przyczem nie obyło się bez kilku ran, na szczęście lekkich. Harbert strzałem z rewolweru uwolnił Naba, któremu na plecy skoczył jeden kulpes, jak tygrys. Top bił się z prawdziwą wściekłością, skacząc lisom do gardła i dusząc je gruntownie. Jow, uzbrojony swoją pałką, tłukł jak ślepy i ani rusz nie dał się powstrzymać w tyle. Obdarzony niewątpliwie wzrokiem pozwalającym mu przebić te ciemności, znajdował się wciąż w miejscu najzacieklejszej walki i od czasu do czasu wydawał ostre gwizdnięcie, będące u niego cechą najwyższej roskoszy. Była chwila, w której tak daleko się posunął, iż przy świetle wystrzału, ujrzeć go można było otoczonego przez pięć czy sześć wielkich kulpesów, którym stawiał czoło z rzadką krwią zimną.

Wreszcie skończyła się walka zwycięstwem osadników, nie prędzej jednak aż po dwóch wielkich godzinach oporu. Pierwsze pobłyski świtu snać skłoniły do odwrotu napastników, bo pomknęły ku północy, przez mostek, który Nab natychmiast zwiódł za niemi.

Gdy światło dzienne dostatecznie rozjaśniło pole walki, osadnicy naliczyli około pięćdziesiąt kulpesów, zabitych i rozrzuconych po wybrzeżu.

— A Jow? — zawołał Pencroff. — Gdzież Jow?

Jow gdzieś się podział. Przyjaciel jego Nab zawołał nań, ale po raz pierwszy Jow nie odpowiedział na wołanie swego przyjaciela.

Wszyscy rzucili się na poszukiwanie Jowa, drżąc, że znajdzie się może pomiędzy poległemi. Oczyszczono miejsce z trupów, plamiących śnieg swoją posoką, i znaleziono Jowa pod istną górą kulpesów, których zdruzgotane szczęki i połamane żebra, świadczyły, że pracowała nad niemi straszliwa pałka nieustraszonego oranga. Biedny Jow trzymał jeszcze w ręku szczątek swej złamanej pałki. Widocznie pozbawiony broni, przygnieciony został przez przeważną ilość napastników i padł. Głębokie rany czerniały mu na piersiach.

—Żyje! —zawołał Nab — pochylony nad nim.

— I ocalimy go — odrzekł marynarz — będziemy go pielęgnować, jakby był jednym z nas.

Zdawało się, że Jow zrozumiał te słowa, bo schylił głowę na ramię Pencroffa, jakby dla podziękowania mu. Marynarz sam był ranny, ale rany jego, tak jak i towarzyszy, nie miały znaczenia, dzięki bowiem palnej broni, wciąż prawie mogli trzymać napastników w oddaleniu. Tylko więc orang znajdował się w niebezpiecznym stanie.

Nab i Pencroff przynieśli go na rękach aż do windy. Przez cały ten czas ledwo jeden słaby jęk wydarł się z jego piersi. Wciągnięto go ostrożnie do Pałacu Granitowego. Tu, złożono go na materacu, wziętym z jednego łóżka i obmyto rany jego jak najstaranniej. Nie zdawało się, żeby naruszyły jakikolwiek ważny organ. W każdym razie jednak Jow utracił bardzo wiele krwi, i wkrótce popadł w dosyć silną gorączkę.

Położono go więc, po opatrzeniu, i skazano na surową djetę, „całkiem jakby osobę naturalną“ jak się wyrażał Nab. Następnie dano mu wypić kilka filiżanek chłodzącej tyzanny, do której ingredjencyj dostarczyła apteczka Pałacu Granitowego.

Zasnął naprzód snem niespokojnym; powoli jednak oddech mu się uregulował, i tak go zostawiono w najgłębszej ciszy. Od czasu do czasu Top, idąc, można rzec prawie „na paluszkach“ zbliżał się do swego przyjaciela i zdał się potakiwać wszystkim czynionym w około niego staraniom. Jedna z rąk Jowa zwisała z łóżka, Top lizał ją z miną załośną.

Tegoż samego poranku jeszcze przystąpiono do pogrzebania trupów, które zaciągnięto aż do lasu Zachodniej Ręki i tam zakopano głęboko.

Napad ten, który byłby mógł mieć tak ważne następstwa dla osadników, był dla nich nauką, i odtąd nie położyli się, dopokąd jeden z nich się nie przeświadczył, że wszystkie mosty zwiedzione i wszelka napaść niemożliwa.

Tymczasem Jow, po kilku dniach dosyć zatrważającej choroby, silnie wydobywać się z niej począł. Konstytucja jego potężna zwyciężyła, gorączka poczęła powoli się zmniejszać i Gedeon Spilett, będący po troszę medykiem, uznał go wkrótce za ocalonego. 16go sierpnia Jow począł jeść. Nab robił dla niego smakowite leguminki, w których chory lubował się ogromnie, miał bowiem tę miluchną przywarkę, iż był troszeczunieczkę łasunem, a Nab nigdy nie starał się go pod tym względem poprawić.

— Co pan chcesz — mawiał do Gedeona Spiletta, robiącego mu wyrzut, że bałamuci oranga — co pan chcesz? Toż on nie ma biedaczek innej roskoszy, okrom żołądkowej, poczciwy Jow, a ja czuję się szczęśliwym, że mogę choć w ten sposób wynagrodzić jego zasługi.

W dziesięć dni po położeniu się w łóżko, 21. sierpnia, pan Jow powstał. Rany się zabliźniły i widać było, iż wkrótce giętkość zwykła i siła powrócą pacjentowi. Jak wszyscy rekonwalescenci, uczuł naraz przerażający apetyt. Korespondent pozwolił mu jeść, co zechce, ufając pod tym względem owemu instynktowi, którego braknie często istotom rozumnym,— a ratującemu bezmyślne od nadużycia. Naba zachwycał ten powrót apetytu u jego wychowanka.

— Jedz — mówił do niego — jedz, mój Jowie; nie żałuj sobie niczego. Wylałeś krew swoją za nas, toż już co najmniej pomódz ci muszę, ażebyś znowu do niej przyszedł!

Nakoniec 28. sierpnia dał się słyszeć głos Naba, przywołujący resztę towarzyszy.

— Panie Cyrusie, panie Gedeonie, panie Harbercie, Pencroffie, chodźcie! chodźcie!

Osadnicy zebrani wtedy właśnie w wielkiej sali, podnieśli się na okrzyk Naba i pobiegli do izby przeznaczonej dla Jowa.

— Co się stało? — spytał korespondent.

— Patrzajcie! — odrzekł Nab, wybuchając hucznym śmiechem.

I cóż ujrzeli? Oto pana Jowa, który palił spokojnie i poważnie fajkę, przykucnąwszy jak Turek w drzwiach Granitowego Pałacu.

— Moja fajka! — zawołał Pencroff. — On wziął moją fajkę! Ach mój dzielny Jowie, ofiaruję ci ją w podarku! Pal, mój przyjacielu, pal!

A Jow puszczał gęste głęby dymu, co zdawało się sprawiać mu nieporównane roskosze.

Cyrusa Smitha nie zadziwił bynajmniej ten wypadek; owszem zacytował liczne przykłady oswojonych małp, dla których palenie tytoniu stało się nałogiem.

Od tego dnia pan Jow miał własną swoją fajkę, ex-fajkę marynarza, którą mu zawieszono w jego pokoju wraz z zapasem tytoniu. On sam ją sobie nakładał, zapalał od żarzącego się węgla i zdał się być najszczęśliwszym z czwororękich. Zgadnie każdy, że ta wspólność gustów ścieśniła tylko owe węzły serdecznej przyjaźni wiążące już oddawna zacną małpę i poczciwego marynarza.

— Kto wie, czy to nie człowiek — mawiał nieraz Pencroff do Naba. — Czyżbyś się zdziwił, gdyby Jowowi przyszła kiedykolwiek ochota zagadania do nas?

— Dalipan, nie — odpowiadał Nab. — Jeżeli mnie co dziwi, to to właśnie, że dotąd jeszcze nie mówi, boć koniec końców niczego mu po temu nie braknie!...

— A wiesz, toby mnie zabawiło — ciągnął dalej marynarz — gdyby pewnego dnia odezwał się do mnie: „Hę? a gdybyśmy się pomieniali na fajki, Pencroffie?“

— O tak, toby było doskonałe — odparł Nab. — Co za nieszczęście, że jest niemym od urodzenia!

Z nastaniem września zima się stanowczo skończyła, a roboty rozpoczęły się z nowym zapałem.

Budowa statku posuwała się żywo naprzód. Pomost skończony już został w zupełności, wzięto się więc do wyklepkowania statku wewnątrz, łącząc przytem wszystkie stawy budowy listwami, zmiękczonemi w parze wodnej i poddającemi się przez to wszelkim wymaganiom modelu.

Ponieważ drzewa było poddostatkiem, Pencroff zaproponował inżynierowi urządzenie jeszcze drugiej ściany wewnętrznej, dla ochrony od wilgoci. Myśl ta nadawała statkowi trwałość i bezpieczeństwo zupełne.

Cyrus Smith nie wiedząc, co przyszłość w sobie chowa, zgodził się na ten pomysł marynarza.

Drugą tę więc ścianę i roboty około pokładu ukończono w zupełności z dniem 15go września. Do zatkania szpar użyto pakuł, które wbito młotkiem pomiędzy klepki pudła, ściany wewnętrznej i pokładu. Następnie zaś, zalano jeszcze te szpary gorącą smołą, której sosny lasu dostarczyły w obfitości.

Urządzenie wewnętrzne statku odbyło się z jak największą prostotą. Najprzód naładowano go balastem, składającym się z ciężkich kawałów granitu, połączonych ze sobą wapnem; waga ich ogólna wynosiła około dwunastu tysięcy funtów.

Następnie balast ten pokryto mostem — a wnętrze statku podzielono na dwie izby, wzdłuż których ciągnęły się ławy, służące zarazem za skrzynie. Osada masztu miała stanowić pokrycie nad przepierzeniem, dzielącem obiedwie izby, do których wchodziło się przez dwa otwory w pokładzie osłonięte klapami.

Pencroff nie miał żadnej trudności w wynalezieniu drzewa przydatnego na maszty. Wybrał ku temu młodą jodłę, prostą, bez sęków, którą tylko trzeba było ściesać w kwadrat u spodu a zaokrąglić u góry. Żelaziwo do masztów, steru, i całego pudła statku, niezgrabnie ale gruntownie wyrobiono w kuźni „w dymnikach“. Wreszcie reje, maszt strzałkowy, i zapasowe drzewo na maszty, wszystko było dokonane i zebrane w pierwszym tygodniu października — i stanęła umowa, iż odbędzie się pierwsza próba statku, w pobliżu wyspy, dla przekonania się, jakie jego zachowanie na morzu i o ile można mu zaufać.

Przez cały ten czas roboty niezbędne nie uległy bynajmniej zaniedbaniu. Obory uporządkowano, ponieważ stado dzikich baranów i kóz powiększyło się już o pewną ilość potomstwa, które trzeba było gdzieś pomieścić i wyżywić. Nie zapomnieli także osadnicy odwidzić ani ostrygarni, ani królikarni, ani pokładów węgla ziemnego i żelaza, — ani wreszcie kilku dotychczas nie zbadanych jeszcze części lasu Zachodniej Ręki, obfitujących wielce w zwierzynę.

Odkryto jeszcze kilka nowych miejscowych roślin, które jeśli nie przynosiły natychmiastowej korzyści, to urozmaiciły przynajmniej karm roślinną mieszkańców Granitowego Pałacu.

Były to okazy z rodziny figowatych, jedne podobne do znajdujących się na przylądku Dobrej Nadziei, z liśćmi mięsistemi, jadalnemi, inne wydające ziarna, w których wnętrzu mieścił się rodzaj mąki.

Dnia 10. października spuszczono okręt na morze. Pencroff promieniał. Operacja udała się jak najwyborniej. Statek w pełnem ożaglowaniu, zatoczony na walcach na sam kraj wybrzeża, pochwycony został przez przybierające morze i spłynął na falach, przy oklaskach osadników a szczególniej Pencroffa, który w tej okazji nie dbał bynajmniej o okazanie się skromnym. Zresztą próżność jego miała dostać nowego bodźca, ponieważ po zbudowaniu statku, powierzono mu nad nim komendę, i za ogólną zgodą otrzymał tytuł kapitana.

Dla zadowolenia kapitana Pencroffa, musiano natychmiast nadać imię nowemu statkowi, co wywołało długie i rozliczne rozprawy i propozycje. Wreszcie jednak głos ogólny zgodził się na imię „Bonawentury“ będące zarazem chrzestnem imieniem zacnego marynarza.

Skoro przypływ morza podniósł „Bonawenturę“ na swych barkach, spostrzedz można było że nowy statek trzymał się wybornie i zdolnym był do wszelakiego ruchu.

Zresztą miała to jeszcze lepiej okazać próba na morzu w bliskości wybrzeża, ułożona na ten sam dzień jeszcze. Czas był prześliczny, wiatr zawiewał świeży, morze nadawało się wybornie do takiej próby, szczególniej od strony południowej wybrzeża, wiatr bowiem wiał z północo-zachodu już od godziny.

— Na statek, na statek! - wołał kapitan Pencroff.

Trzeba jednak było zjeść śniadanie przed wycieczką i zdawało się nawet rzeczą roztropną zabrać ze sobą niektóre zapasy na przypadek, gdyby wycieczka miała się przeciągnąć aż do wieczora.

Cyrusowi Smith spieszyło się również spróbować statku, którego plan on bądź co bądź podał, pomimo, że idąc za radą marynarza, poczynił następnie kilka poprawek. Nie miał jednak tyle zaufania do tego okręciku, co Pencroff — i ponieważ marynarz nie powracał do projektu podróży na wyspę Tabor, Cyrus Smith miał nadzieję, że Pencroff już od tej myśli odstąpił. W istocie bowiem przykroby mu było zobaczyć dwóch lub trzech ze swoich towarzyszy, hazardujących się na tej barce, koniec końców tak malenkiej i niosącej zaledwie piętnaście beczek ciężaru.

O wpół do jednastej wszyscy znaleźli się na pokładzie, nawet Jow, nawet Top. Nab i Harbert podnieśli kotwicę, zatopioną w piasku w bliskości ujścia Dziękczynnej, wywieszono flagę lincolnijską i „Bonawentura,“ sterowany przez Pencroffa, wypłynął na morze.

Ażeby wyjść z zatoki Stanów Zjednoczonych, trzeba było najprzód wziąć się z wiatrem, co dało możność przekonania się, że w tych warunkach szybkość statku była zadawalającą.

Po okrążeniu przylądka Rozbitków i Ostrego Szponu, Pencroff musiał się trzymać tuż koło wybrzeża, wzdłuż strony południowej wyspy i zauważył po przepłynięciu kilku węzłów, że „Bonawentura“ miał bieg równy i wybornie opierający się zboczeniu. Skręcał dosknale pod wiatr,— miał „zamach“ jak mówią marynarze, i zyskiwał nawet nawet na przestrzeni przy skręceniu.

Pasażerowie „Bonawentury“ byli w prawdziwem zachwyceniu. Posiadali wyborny statek, który w danym razie mógł oddać im wielkie przysługi — a przytem, w dniu tak pogodnym i przy tak pomyślnym wietrze — przejażdżka ta sprawiała im rzetelną przyjemność.

Pencroff skierował się na pełne morze, trzy lub cztery mile od wybrzeża, przez port Balonowy. Wówczas wyspa pokazała się im w całym obszarze swoim i w nowej postaci, z urozmaiconą panoramą swoich wybrzeży od przylądka Ostrego Szponu, do przylądka Wężowego, — z pierwszemi planami lasów swoich, w których szyszkowce odróżniały się jeszcze wśród młodego oliścienia innych drzew, pączkujących zaledwie,— z górą Franklina wreszcie, panującą nad całością tego obrazu, i mającą czoło gdzieniegdzie uwieńczone śniegami.

— Jakie to piękne! — zawołał Harbert.

— O tak, nasza wysepka jest piękna i dobra — odpowiedział Pencroff. Kocham ją, jak niegdyś moją biedną matkę. Przyjęła nas ubogich i pozbawionych wszystkiego — a teraz czegoż braknie pięciorgu dzieciom, które jej spadły z nieba?

— Niczego! — odrzekł Nab — niczego, kapitanie!

I dwaj poczciwcy rzucili trzykrotnie potężne: hurra! — na cześć swojej wyspy.

Wśród tego Gedeon Spilett oparty o podstawę masztu, zdejmował ołówkiem panoramę rozwijającą mu się przed oczyma.

Cyrus Smith rozglądał się w milczeniu.

— No, panie Cyrusie — odezwał się doń Pencroff — co pan powiesz o naszym statku?...

— Zdaje się bardzo dobrze sprawiać, — odrzekł inżynier.

— Wybornie. Jesteś więc pan przekonany obecnie, że możnaby na nim przedsięwziąć dłuższą jaką podróż?

— Jaką podróż, Pencroffie?

— Do wyspy Tabor, naprzykład?

— Mój przyjacielu, — odpowiedział Cyrus Smith — mnie się zdaje, że w razie konieczności nie należałoby się wahać powierzyć Bonawenturze nawet na dłuższą podróż, — wiesz jednak o tem, że z przykrością widziałbym cię wypływającego do wyspy Tabor, ponieważ nic nas do tego nie zmusza.

— Dobrze jest znać swoich sąsiadów, — odparł Pencroff, zacięty na punkcie swego pomysłu. — Wyspa Tabor to nasza sąsiadka, — jedyna! Sama grzeczność wymaga, ażeby ją przynajmniej odwidzić!

— Do djabła — odezwał się Gedeon Spilett — nasz przyjaciel Pencroff stoi jak mur przy ceremonjale.

— Ja przy niczem nie stoję, jak mur—odciął się marynarz, którego opozycja inżyniera nieco drażniła, a nie chciał mu jednak wyrządzić jakiejkolwiek przykrości.

— Pomyśl, Pencroffie,— odrzekł Cyrus Smith, że sam nie możesz udać się do wyspy Tabor.

— Jeden towarzysz mi wystarczy.

— Zgoda, odparł inżynier. Ryzykujesz więc dwóch osadników wypy Lincolna na pięciu?

— Na sześciu! — odrzekł marynarz. Zapominasz pan o Jowie.

— Na siedmiu! — dodał Nab. Top tyle wart co i kto inny!

— Nie masz w tem żadnego ryzyko — panie Cyrusie — podjął znowu Pencroff.

— Być może, Pencroffie; ja jednak powtarzam, że byłoby to narażaniem się, bez konieczności!

Uparty marynarz nie odpowiedział nic na to i pozwolił upaść rozmowie z mocnem postanowieniem podjęcia jej na nowo. Ani myślał jednak, że przyjdzie mu wnet na pomoc wypadek, który zmieni w dzieło ludzkości, zamiar jego, będący bądź co bądź dotąd kaprysem tylko, podlegającym dyskusji.

Po długim dosyć pobycie na pełnem morzu, "Bonawentura“ zbliżył się do brzegu, sterując ku portowi Balonowemu. Ważną bowiem było rzeczą, obejrzeć przesmyki pomiędzy ławicami piasku a skałami, dla zatknięcia nad niemi w razie potrzeby znaków ostrzegających, — ponieważ ta mała zatoczka miała być stanowiskiem dla statku.

Było to zaledwie o pół mili od wybrzeża, i trzeba było płynąć gzygzakiem (lawirować) pod wiatrem; bieg „Bonawentury“ był w tej chwili bardzo umiarkowany, — wiatr bowiem w części powstrzymany przez ziemię, zaledwo wydymał żagle, a morze gładkie jak zwierciadło, marszczyło się jedynie od kapryśnych silniejszych podmuchów.

Harbert trzymał się na przedzie statku, dla wskazywania drogi w pośród przesmyków. Nagle z ust jego dał się słyszeć okrzyk:

— Skręć z wiatrem, Pencroffie, skręć z wiatrem!

— A co tam takiego — spytał marynarz podnosząc się. — Skała?

— Nie... czekaj... — odrzekł Harbert... nie widzę jeszcze dobrze... skręćno jeszcze... dobrze... trochę bliżej...

I mówiąc to, Harbert wyciągnął się jak długi na pokładzie, zanurzył szybko rękę w wodę i podniósł się, wołając:

— Butelka!

W ręku trzymał butelkę zakorkowaną, schwytaną właśnie w tej chwili na fali.

Cyrus Smith wziął ją w rękę. Nie mówiąc ani słowa, wyciągnął korek i wydobył z niej papier wilgotny, na którym były te słowa:

— Rozbitek... Wyspa Tabor... 153° Z. dług.— 37° 11′ szer. Płd. (C. d. n.)

POGADANKI.

XLVII.

W kronikach Lwowa zapiszą historycy, że miasto to, którego nie mogli zdobyć Wołochy, Kozacy, Tatarzy, Moskale ani Turcy, i które poraz pierwszy uległo Karolowi XII. w r. 1704 — temi dniami znowu bez najmniejszego oporu dało się zająć czterem Szwedkom. Dzięki nieoględności magistratu i komendy placu, damy te opanowały salę ratuszową i zgromadziwszy w niej wielką liczbę przedniejszych mieszkańców płci obojej, zniewoliły ich do hołdu i podbiły najzupełniej. Nawet rogate dusze recenzentów — jeżeli wolno mówić jednym tchem o duszach i o recenzentach— nie zdołały oprzeć się potędze „słowików północy,“ która, jak każda potęga, polega na harmonji. Nawet smyczkowy kwartet florentyński ma być mniej doskonałym od śpiewu szwedzkiego. Nawet śp. doktor B-dur, gdyby wstał z zapomnienia, w które go wtrąciła przedwcześnie niewdzięczność ziomków, nie zdołałby przyczepić najmniejszej patologicznej uwagi do powszechnego chóru pochwał, zważywszy, iż artystki nietylko śpiewają przecudnie, ale także wyrośnięte są i rozrośnięte, jak sobie tego tylko życzyć można, a zresztą każdy profan pojmie, że tam daleko na północy gardziel, nie dotknięta wieczną chrypką, musi być niepospolicie sformowaną gardzielą, pod względem anatomicznym równie jak i pod muzykalnym.

Z mniejszą nierównie otuchą oczekujemy tutaj występów gościa z południowych krajów, którego zdrowiu nie najlepszy stawiają horoskop spostrzeżenia lwowskiej stacji meteorologicznej. Barometr, psychrometr i termometr opowiadają rzeczy, o których nie śniło się żadnemu porządnemu słoniowi w jego ojczyźnie. Każdy domyślił się już zapewne, że jest to mowa o czerwonym artyście, którego talent umożliwić ma przedstawienie „Podróży na około świata“ Juliusza Verne na scenie lwowskiej. Przybył on już ponoś do Lwowa, wraz z wężami, lokomotywą, i innemi niewidzianemi jeszcze na naszych deskach teatralnych znakomitościami, biorącemi udział w tej sztuce. Opera strwożona tym najazdem schroniła się do Krakowa, gdzie jej *Czas* zapewnił jak najlepsze przyjęcie, a tymczasem we Lwowie bilety na pierwsze trzy przedstawienia „Podróży na około świata“ mają już być prawie rozkupione. Cóż to będzie dopiero, jeżeli się sprawdzi pogłoska, według której około 30.000 Moskali zwabionych tem widowiskiem, wybiera się do Lwowa! Dotychczas nie poczyniono żadnych przygotowań na ich przyjęcie, licząc zapewne na to, że stan gościńców rządowych i autonomicznych nie pozwoli im dotrzeć tak daleko w głąb kraju.

Zapewnienia *Czasu* co do przyjęcia, jakiego spodziewać się może opera lwowska w Krakowie, ziściły się już zapewne w tej chwili. Nadmienić tu tylko wypada, że poważny organ krakowski i tym razem poczytuje sobie za nie małą zasługę to przychylne usposobienie swoje dla instytucji lwowskiej, jak gdyby mogło być co naturalniejszego nadto, iż opera polska mile widzianą będzie w mieście polskiem. W wielkomyślnym zapędzie serca, obiecuje nawet *Czas* pewną stronniczość na korzyść śpiewaków i śpiewaczek naszych. To już podobnoś za wiele dobrego. Krytyka zbyt pobłażliwa jest przynajmniej tak szkodliwą, jak krytyka zbyt surowa. Sztukę narodową należy cenić i kochać ponad obcą, ale nie idzie zatem, by należało chwalić bezwzględnie wszystko dlatego, że swoje. Były i są oryginały, popadające w śmieszną ostateczność wręcz przeciwną: swój nie mógł nigdy uczynić zadość ich wymaganiom, i potrzeba było dopiero uznania zagranicznej krytyki, by ich przekonać, że Polak może coś napisać, wymalować, zagrać lub zaśpiewać godnego pochwały. We Lwowie, póki nam śpiewali Niemcy, trudno było znaleść człowieka, któryby uwierzył, że może istnieć opera polska. I w istocie nie mogłaby istnieć, gdyby krytyka z patrjotyzmu nie wytykała żadnych usterek. Zaniedbanoby się, a publiczność, która nie tak łatwo da wmówić w siebie wszystko, jak to się zdaje niektórym pp. dziennikarzom, odstrychnęłaby się wkrótce z kretesem od teatru. Jeżeli pragniemy posiadać sztukę własną, narodową, to pragniemy także, ażeby ona mogła wytrzymać bezstronną i bezwzględną krytykę. Dlatego też *Czas*, jeżeli ma do swojej dyspozycji jakie pióro fachowe, wyświadczy operze i publiczności naszej niemałą przysługę, nie folgując zbytniej kurtoazji i pobłażliwości, zwłaszcza gdy nie taimy wcale, iż we Lwowie krytyka muzyczna jest jeszcze w kolebce, a nieraz produkuje nawet istne dziwolągi. Nie jeden z naszych pp. recenzentów, olśniewający nieznawców całą powodzią terminologji artystycznej, spisuje przy jej pomocy brednie, z których już śmieje się „całe miasto.“ Z wielką radością powitalibyśmy w łamach *Czasu* sąd kompetentny i nieuprzedzony, zapełniający tę lukę w prasie nadpełtwiańskiej, aż nadto niestety widoczną. Recenzent muzyczny powinien: 1. być muzykalnie wykształconym, 2. znać na wskroś kompozycję, o której wykonaniu pisze, 3. znać ją także z przedstawień ile możności doskonałych, a nakoninc 4. umieć pisać, a nie tylko popisywać się swojem znawstwem. Takiego recenzenta, nie ubliżając nikomu, przyznajemy się, że nie mamy dotychczas we Lwowie. Jeżeli kiedy pojawiła się u nas recenzja, sama od biedy wytrzymująca krytykę, była ona niewątpliwie owocem mozolnego zestawienia ustnych uwag ludzi fachowych, przez niefachowego zupełnie pisarza.

Z dumą przychodzi mi zapisać, że w innym kierunku krytyka lwowska okazuje się wcale kompetentną. Niejeden nauczony jurare in verba magistri, pod warunkiem, by magister był cudzoziemcem, z niedowierzaniem ruszał ramionami, gdy podczas tegorocznej wystawy pisma nasze — a przed wszystkiemi *Tydzień* — stawiały na równi z utworami Matejki obraz p. Leopolskiego przedstawiający „Zgon Klonowicza“. Obecnie obraz ten znajduje się w Wiedniu, na wystawie tamtejszego *Kunstvereinu*, i pierwszy głos niemiecki, który nas dochodzi o nim, nie tylko potwierdza w zupełności zdanie krytyki lwowskiej, ale idzie jeszcze dalej i chwali utwór p. Leopolskiego bez wszelkiej restrykcji, pomijając nawet ten szczegół, iż obraz nie jest wykończonym. W fejletonie *Tagblattu* mianowicie powiada p. S. że p. Wilhelm Leopolski jednym tym obrazem zrobił sobie imię pełne najznakomitszego rozgłosu. (Einen Namen von vollwichtigem Klange.)

„W obrazie jego — pisze *Tagblatt* — uderza nas pełnia siły skończonego artysty. Mamy tu do czynienia z pierwszorzędnym talentem. Stanąć i przypatrywać się uważnie! Towarzystwo sztuk pięknych może sobie powinszować, iż pozyskało ten utwór dla swojej wystawy.....“

„Obraz p. Leopolskiego imponuje przedewszystkiem wielkością pojęcia i klasycznym spokojem, pomimo wzruszeń i burz, któremi poruszone są dwie przedstawione tam postacie. Jak szlachetną jest głowa podwójnie cierpiącego poety! Delikatnością rysów, przypomina on poniekąd piękną głowę Mazziniego. Rąk i Rembrandt lepiejby nie wymalował. Całe płótno malowane jest z owem mistrzowstwem pełnem dystynkcji, które bywa przymiotem skończonych tylko artystów. Żadna linja nie krzyczy, żadna farba natrętnie nie rzuca się w oczy.“

Pominąłem tu oczywiście tę część sprawozdania, która zawiera opisanie obrazu, znanego już publiczności naszej z wystawy lwowskiej, lub przynajmniej z krytyk w pismach krajowych. Nadmienię jeszcze tylko, że p. S. lekarza odchodzącego od łoża Klonowicza, nie wiem jakim sposobem, wziął za drugiego jezuitę, i że nie opuścił sposobności, ażeby chwaląc p. Leopolskiego nie wytknąć innym malarzom polskim, że z obrazów ich „sterczy zwykle ręka żebrząca o trochę współczucia dla nieszczęśliwej ojczyzny.“ Przyzwyczajeni jesteśmy aż nadto do grubjaństw tego rodzaju, leżących już w charakterze teutońskim. Co się tyczy p. Leopolskiego, mniemamy, iż wobec pochwał i oklasków zagranicy, powinien sobie podwójnie wziąć do serca napomnienia krytyki krajowej, i nie spoczywać na pierwszych zaraz wawrzynach.

Z innych obrazów polskich w Wiedniu, wspominany jest z uznaniem, „Pogrzeb mnicha“, Suchodolskiego, Swieszewski wystawił widok Wezuwjusza i wykopalisk w Pompeji.

We Lwowie oglądaliśmy w sklepie p. Hawranka przy placu św. Ducha portret Franciszka Smolki, przez A. Grabowskiego, przeznaczony także do wysyłki za granicę. Obraz to pełen wielkich zalet, i jedno chyba zarzucić mu można: tak potężna głowa wymagałaby była większego, podnioślejszego stylu. Smolka p. Grabowskiego żyje, oddycha, ale nie jest tym Smolką, jakiego z dawnych lat znamy, mimo zupełnego podobieństwa rysów. Krytyka wszakże nie mało będzie miała do powiedzenia o zaletach pędzla, które i nieznawca odkryje z łatwością w tym portrecie.

A gdy już mowa o malarstwie, czy weźmie mi za złe szanowny zarząd lwowskiego Towarzystwa Sztuk pięknych, jeżeli się ośmielę zapytać, kiedy też nakoniec odbędzie się tegoroczne ogólne zgromadzenie członków? Jesteśmy już w drugiej połowie listopada, a o terminie zgromadzenia jeszcze nic nie słychać. Jakoś szanowny zarząd spaźnia się ze wszystkiem tego roku, z wystawą, z losowaniem, i ze zwołaniem zgromadzenia. Może być wszakże, że im później, tem lepiej wszystko wypadnie.

Jan Lam.

TEATR.

(„Niewinni“ dramat w 3 aktach Władysława Okońskiego. — „Krytycy“, komedja w 5 aktach Jana Chęcińskiego.)

Chcąc dać całościowy obraz działalności tutejszego teatru w ubiegłym miesiącu, a przytem (mówiąc prawdę) oszczędzić fatygi sobie i czytelnikom

*

naszym, woleliśmy odłożyć sprawozdanie z pierwszej nowości ubiegłego miesiąca tj. „Niewinnych,“ aby ją omówić wspólnie z drugą tj. „Krytykami,“ jakkolwiek oba te utwory żadna inna wspólność ze sobą ani łączy, ani nawet ku sobie przybliża. Przedewszystkiem musimy oddać zasłużoną pochwałę dyrekcji, która z niebywałą dawniej zapobiegliwością stara się oto, ażeby wszystkie celniejsze utwory rodzinnej literatury, jak najprędzej, a nawet ile możności najpierwej wystawiać. I tak znakomita komedja „Przed ślubem“ najpierw na lwowskiej scenie ujrzała światło kinkietów. W przedstawieniu „Niewinnych“ wyprzedził nas wprawdzie teatr krakowski (któremu komisja konkursowa poleciła ten utwór do grania), ale warszawski dopiero, w ślady lwowskiego pospieszył. „Krytyków“ grano już w Warszawie, krótko po zgonie śp. autora. Zawsze to mile łechce naszą dumę lokalną przewodzić bodaj na tym punkcie, skoro na żadnym innym nie można...

Zaczynam od „Niewinnych,“ którzy w całej swej niewinności wywołali jednak niezmiernie zacięte dyskusje, i sprzeczne krytyki pomiędzy t. z. wykształconą publicznością. Myliłby się jednak, ktoby sądził, że to gorące zajęcie się należy położyć na karb wrażenia, jakie sam dramat jako taki, sprawił na publiczności. Bynajmniej! przedmiotem jego była t e n d e n c j a utworu, a nie sam utwór. Już w tym samym fakcie leży większa część krytyki tego utworu. Dramat, podobnie jak obraz, powinien przedewszystkiem sprawiać wrażenie swą zewnętrzną dla każdego widoczną i każdemu zrozumiałą stroną. Dla wielu już ta jedna strona musi wystarczać zupełnie, podczas gdy niektórych tylko pobudza ona do refleksji i głębszego zastanowienia się nad myślą tkwiącą w całości utworu. Rozprawy naukowe lub filozoficzne przeznaczone są zwykle dla nielicznego grona wybranych, dramat (jako dzieło sceniczne), musi przemawiać do szerokiej publiczności rozmaitego stopnia wykształcenia i przyjęcia, w tem leży jego korzyść lub niekorzyść, ale w każdym razie na tem opierają się jego wymagania. Dla tego też przedmiot, który dramaturg obiera, powinien być mniej więcej dla k a ż d e g o przystępnym i zdolnym k a ż d e g o zainteresować. Takich przedmiotów dostarczają przedewszystkiem ogólno-ludzkie namiętności, cnoty lub błędy, a dalej pewne namiętności, zapatrywania, pewne prądy estetyczne, społeczne lub polityczne, które w danym czasie oddziałują silnie na ogół. Ale nigdy przedmiotem dramatu nie mogą być abstrakcyjne zagadnienia filozoficzne, chociażby nawet objęte niemi prawa, bezpośrednio oddziaływały na ludzi i ich życie, bo naprzód wpływ ten odbywa się najczęściej bez ich świadomości, a tem samem nie ma dla nich żadnego praktycznego znaczenia, a powtóre, chociażby nawet działał z ich świadomością, to jako prawidło powszechne i nieodmienne, a co najważniejsza nieodwołalne, nie budzi powszechnego zajęcia, podobnie jak np. tak ważne akta jak oddychania lub trawienia (*sit venia comparationi!*) prócz lekarzy, którzy z zawodu poświęcają się zbadaniu ich przyczyn i prawideł, nie stanowią jednak przedmiotu ani powszechnego rozmyślania ani pogadanek... Wystawmy sobie, jak nieszczęśliwem byłoby społeczeństwo, w któremby coś podobnego miało miejsce!... A ileżby fałszywych a nawet szkodliwych powstało wówczas zapatrywań!... Ile szaleństw, ile klęsk!... Otóż podobnie jak z życiem fizycznem, dzieje się i z życiem duchowem człowieka. I tu są pewne prawdy, jakkolwiek wielkie i niewzruszone, o których jednak ogół ludzi ani wiedzieć może, ani wiedzieć chce, ani wiedzieć potrzebuje!... Co więcej, wiadomość taka mogłaby pociągnąć za sobą szkodliwe i niebezpieczne skutki, bo łatwo umysły słabe i nielogiczne popchnąćby mogła do wniosków równie błędnych jak fatalnych.... Istnieją tajemnice takie, jak ów zakryty posąg świątyni w Lais, których pod grozą strasznych następstw nie należy obnażać przed wierzącym bo p r z e b u j ą c y m wierzyć, przed okłamywanym wprawdzie lecz p o t r z e b u j ą c y m tego, przed ciemnym zawsze i bezmyślnym tłumem ludzi... W owem przysłowiu łacińskiem *mundus vult decipi* kryje się głębsza prawda, niźli się śniło może t. mu, który je wymyślił... Kto lekkomyślnie odsłania te tajemnice ogółowi, naraża się zawsze na to, że go źle zrozumieją, i taki, chcąc siać prawdę, zasieje fałsz... do tego rodzaju zagadek dochodzi się t y l k o samodzielną, krwawą pracą ducha, i wtedy tylko poznanie ich może być pożytecznem, lecz podane umysłowi na nic nieprzygotowanemu, stają się dlań trucizną... a już podawanie ich pod postacią dramatu, przeznaczonego na scenę, sprzeciwia się (jak wyżej nadmieniłem) i zadaniu i istocie dramatu. Otóż jedno z podobnych zagadnień filozoficznych obrał p. Okoński za temat do swoich „Niewinnych“, którzy już z tego samego względu są „winnymi“ i bardzo „winnymi...“

Utworem tym zamierzył autor przenieść na grunt życia rzeczywistego tyle już ogadywaną przez rozmaitych filozofów tezę: o wolnej woli człowieka, i udowodnić, że człowiek wszystko co działa, działa nie z własnej wolnej woli, lecz pod wpływem wewnętrznej k o n i e c z n o ś c i, że za swe czyny żadną miarą odpowiedzialnym być nie może, że przeto niepodobna przypisywać mu w niczem w i n y... Niepodobna nam tutaj zapuszczać się w rozprawę filozoficzną nad tą kwestją, która należy do najzawilszych, a rozstrzygniętą być nigdy nie może, bo zawiera w sobie całą zagadkę bytu człowieka. Sądzimy jednak, że autor miał tu na myśli jedynie wolną wolę w absolutnem znaczeniu, nie chcąc bowiem dojść do absurdum, musimy człowiekowi przyznać koniecznie pewien względowy zakres wolnej woli. Zachodzi tylko pytanie jak wielkim jest ten zakres? Otóż granic jego nie podobna ściśle oznaczyć nawet w teorji, a cóż dopiero w życiu... Któż zdoła określić dokładnie: gdzie się kończy w człowieku wolna wola, a gdzie się zaczyna konieczność?... A nie określiwszy tego jasno i wyraźnie, postępuje się po omacku i dochodzi w końcu do sprzeczności i do parodoksów.

Przejdźmy pokrótce osnowę dramatu.

Młody adwokat Bolesław Oniemski od lat kilku żyje w szczęśliwem stadle małżeńskiem z gorąco kochającą go żoną, której na imię Zofja. Zofja wychowywaną była przez niejakiego Dobrycza, głębokiego filozofa, w zasadach bardzo surowej moralności, która nie przebaczając żadnego zboczenia sobie samemu, nie uczy także przebaczać drugim. Bolesław jest trochę wietrznikiem z natury, prócz tego, (czemu oczywiście nie winien) jakkolwiek w gruncie i kocha i ceni swą żonę, nudzi go jej pedanterja, a upakarza jej wyższość moralna. Zawiązuje więc tajemny stosunek z kobietą namiętnie go kochającą, dla której miłość ta jest wewnętrzną koniecznością, a więc której ona również n i e j e s t w i n n ą. Kobieta ta zowie się Julja. Stosunek ich przez niesłychaną niezgrabność Bolesława wydaje się przed żoną. Bolesław, ażeby siebie zasłonić, w rozmowie z Julją, podsłuchiwanej przez Zofję, wypiera się kochanki i wszelkich z nią stosunków, a Zofja, upatrując w tem podłość podwójną, porzuca wiarołomnego małżonka, zabierając ze sobą jedyne ich dziecko.

Na tem kończy się akt 1szy, pełen prawdziwej dramatyczności, świadczący o niepospolitym dramatycznym talencie autora, i wzbudzający ubolewanie, że autor nie zużytkował go w wdzięczniejszy sposób. Akt ten służy jednak autorowi tylko jako założenie do problematu, który zamierza rozwinąć w następnych dwóch aktach. Na tem kończy się także wszelka akcja dramatyczna, a rozpoczyna się szereg długich moralno-filozoficznych dyskusyj.

Dobrycz, upatrując w postępku Zofji fatalny skutek swych własnych teoryj moralnych, stara się nakłonić ją do przebaczenia mężowi, czemu się ona opiera. Ni ztąd, ni zowąd zjawia się Julja i dowodzi swoją n i e w i n n o ś ć. Zofja mięknie i przebacza jej tę jej „niewinność“. To pierwszy krok na drodze przeobrażenia moralnego, któremu powoli ulega. W 3cim akcie zjawia się Bolesław, ażeby odwidzić swe dziecko. Bolesław cały ten czas spędził samotnie w Szwajcarji, pod niewidzialną opieką Dobrycza, starając się dla stłumienia swej boleści, wyrugować ze serca wszelką miłość i wszelkie uczucie i stać się zimnym głazem. Zofja jakkolwiek srodze obrażona, w głębi duszy nie przestała go kochać. Dobrycz, aby ją nakłonić do pojednania z mężem, używa ostatniego sposobu i spowiada się przed nią z analogicznego występku, którego się sam niegdyś w życiu dopuścił, a którego owocem jest — Zofja... Po krótkiej walce Zofja ulega i gotową jest przebaczyć mężowi. Aż oto pokazuje się, że Bolesław w swej samotności szwajcarskiej przyszedł do przekonania, że ponieważ żona nie przebaczyła mu od razu, prawo przebaczenia teraz przeszło na niego. Zofji nie pozostaje więc nic innego, jak tylko przeprosić pokornie męża za jego wiarołomstwo, a ten w zamian przebacza jej wspaniałomyślnie jej ówczesny brak przebaczenia... Paradoksalność tego faktu, stanowiącego zakończenie dramatu, jest zbyt namacalną, ażebyśmy potrzebowali dłużej nad nią się rozszerzać...

Ale co dziwnie uderza, to że przez całe dwa ostatnie akty, nie słyszymy o niczem, tylko o przebaczeniu — nie widzimy jak tylko ciągłe przebaczenie — przebaczanie? n i e w i n n y m?... Zachodzi jeszcze i drugie pytanie, czyli wszystkie te osoby, które w ciągu sztuki zmieniają swój pierwotny sposób widzenia, skoro są „takiemi jakiemi są“ z k o n i e c z n o ś c i wewnętrznej, mogą stać się i n n e m i, niżeli były na początku sztuki? Autor nie uzasadnia tego niczem, każe nam wierzyć — więc chyba wierzmy!...

Praktycznym wnioskiem, do którego autor zamierzał dójść przez swą teorję o wolnej woli, jest, że ponieważ wszyscy jesteśmy „takimi jakimi jesteśmy“, albo raczej jakimi być m u s i m y, powinniśmy przeto być wyrozumiałymi na wszystko i wszystko przebaczać. „Tout comprendre — c'est tout pardonner“. Etyka chrześcijańska do tego samego wniosku dochodzi przez odmienne rozumowanie, powiada ona: ponieważ wszyscyśmy słabi i ułomni, ponieważ wszyscyśmy w i n n i, więc przebaczajmy sobie nawzajem. Czy to nie jest przypadkiem logiczniej?...

Całemu temu utworowi, który jest tylko uzmysłowieniem abstrakcyjnego problematu filozoficznego, z wyjątkiem 1go aktu, brak prawdy życiowej — możnaby o nim powiedzieć, że jest „durch des Gedankens Blässe angekränkelt...“ Ta sama bladość refleksji pokrywa także lica jego bohaterów — są to raczej idee uosobione, sztucznie, spreparowane w retorcie, niżeli ludzie z krwi i ciała... Sądząc po tym utworze, możnaby mniemać, że autor lepiej zna c z ł o w i e k a (jako gatunek), niżeli l u d z i (jako indywidua)...

Wyraziwszy tak bezwzględnie surowy sąd o utworze p. Okońskiego, słuszna wspomnieć i o dodatnich jego stronach. Taką przedewszystkiem jest mistrzowskie djalogowanie, pełne głębokich myśli, wspaniałej djalektyki, bystrości, elegancji i dowcipu. Djalog podtrzymuje całe ostatnie dwa akty, i pomimo braku akcji, czyni je zajmującemi. Publiczność z zadowoleniem chwyta te świetne rakiety myśli, jakie co chwila z niego strzelają. Djalog też znalazł w artystach naszych znakomitych wykonawców. Równa zasługa należy się tu pp. Ładnowskiemu (Bolesław), pannie Deryng (Zofja) i pani Nowakowskiej (Julja). Panna Deryng prócz tego w 1ym akcie miała świetne chwile, tożsamo w rozmowie z Julją; słabiej wypadła z jej strony rozmowa z Bolesławem, w której górował zato p. Ładnowski. P. Konarski (Dobrycz) nie potrafił zająć swą kreacją; zamało w niej było powagi i spokoju, którym imponować powinien. P. Woleński (Łańczuk) był trochę za sztywnym, zwłaszcza w scenie oświadczyn.

Bądź co bądź „Niewinni“ znamionują talent niepospolity i okazują nam w autorze równie głębokiego myśliciela, jak wykwintnego artystę. To nas właśnie uprawniło do tak surowego sądu o nich.

* *
*

Na „Krytyków“ nie wiele zostało mi miejsca, zresztą nie wiele miałbym o nich do powiedzenia. Jest to satyra dowcipna, a nawet po większej części sprawiedliwa, ale nie komedja. Główną też rzecz stanowi satyryczne tło utworu, do którego dość luźnie przylepioną została mało zajmująca, a nawet nieco banalna intryga. Czuć w tem wszystkiem aż nadto autora i dyrektora rozgniewanego na krytyków, którym przy sposobności stara się odwdzięczyć wszystkie swe krzywdy. Zresztą już sam pomysł sztuki najlepiej o tem świadczy. Jako taki, utwor ten usuwa się właściwie z pod krytyki artystycznej, bo czyż może kiedy co sprawiedliwego powiedzieć krytyk o „Krytykach?“

Ar—y.

Ze świata muzycznego.

Dzielimy się w kilku słowach miłem wrażeniem jakie pozostawił u nas po sobie damski kwartet szwedzki, którego koncerty odbyły się w d. 15. i

16. listopada. Kwartet ten składają: pp. Hilda Widerberg (1 sopran), Amy Aberg (2 sopran), Marja Petterson (1 alt) i Wilhelmine Söderlund (2 alt). Nie są to wielkie głosy, ale też i ten rodzaj muzyki oparty przeważnie na detaljach wykonania i delikatnem cieniowaniu, nadzwyczajnej siły tonu nie wymaga. Wykonane zaś utwory, po większej części pojedynczej natury, i prawie bez żadnych wyszukanych kombinacyj harmonicznych, słuchać się dają tak przyjemnie, iż sądzić by można, że wykonanie ich nie przedstawia żadnej trudności. Tutaj to właśnie leży największa zasługa koncertantek, gdyż sprowadzić cztery głosy do takiej równości, aby każde choćby najkrótsze w akord uderzenie, najmniejsze sforzando i pianissimo, idealną jedność stanowiły, są głównem zadaniem muzyki kwartetowej wokalnej. Jeżeli n. p. przeprowadzenie równego crescenda w kwartecie, wymaga starannego opracowania, to niespodziane i nagłe przejście z wielkiego forte do zaledwie dosłyszanego pianissimo, jest rzeczą może najtrudniejszą do wykonania, a tego rodzaju pianissima, zamienione w imitację prawdziwego echa, u koncertantek wywoływały największe efekta. Słuchając je, zdaje się, że cztery głosy o jeden oddech oparte jedna i ta sama pierś wydaje, i to jest wszystko co można powiedzieć na ich pochwałę.

Doprowadzić podobny kwartet do możliwiej doskonałości, którego najpierwszym warunkiem musi być czystość intonacji, jest kwestją mozolnej pracy, a co więcej — wytrwałości. Nie chodzi tu bowiem tyle o piękne i silne głosy, ile o dobranie sił równych, zgodność, zamiłowanie i prawdziwe muzykalne usposobienie talentów. Muzyka kwartetowa tak instrumentalna jako też i wokalna, jest bez zaprzeczenia najpiękniejszą i najwięcej rozwijającą zmysł i dobry smak muzykalny, i jeżeli dziś Niemcy tak wysoko stoją na tem polu, to z pewnością dla tego, że ją z największem zamiłowaniem i najwięcej uprawiają. Florentyński kwartet obudził w Lwowianach to poczucie i chęć kształcenia się w tym kierunku, daj Boże, aby i przejeżdżające przez nasz gród Szwedki nie tylko miłe wspomnienie po sobie pozostawiły.

Walery Wysocki.

Listy z Niemiec.

Berlin — Listopad 1875.

Doprawdy los jest czasem okrutny... stawia przed nami podstępne zagadki, ażeby z odpowiedzi na nie przekonać się cośmy warci. Czując obecnemi uczuciami niemca, należałoby sobie jak klęski tak i spotkania z podobnemi zagadkami nie życzyć. Bo właśnie ziomków jego niedawno zaskoczyła jedna z trudniejszych, którą przytem rozwiązali dość nieszczęśliwie. I to znowu z przyczyny Francuzów! Okazało się bowiem, że im łatwiej przychodzi tych ostatnich obedrzeć niż spełnić względem nich elementarny ludzki obowiązek. Gdy telegrafy przyniosły straszną wiadomość o spustoszeniach wylewu Garonny, która pochłonęła krajowi trzysta miljonów franków, z żalem jednocześnie zbudziła się ciekawość, jak też w obec nieszczęscia Francji zachowają się idealne niemieckie serca. Połowa bowiem Europy, Anglicy, Włosi, Szajcarowie, Holendrzy, Hiszpanie, słowem niemal wszystkie możniejsze narody pospieszyły z pomocą i współczuciem. Czekano powszechnie — co zrobią Niemcy? Logika zwykłego współczucia zdawała się wskazywać tylko jednę drogę — drogę zapomnienia międzynarodowych uraz i ratowania nieszczęśliwych. Jeśli zaś zważymy, iż w czystych sumieniach Germanji do dziś dnia odzywają się więcej lub mniej głośne wyrzuty za okrucieństwo i pomstę nad Francją, to owa logika pozwalała nawet przypuszczać, że uczciwość chętnie skorzysta ze sposobności i chociaż częściowo wynagrodzi zwyciężonemu narodowi jego wojenne kontrybucje. Tego kroku należało się spodziewać nawet po najgorętszym patrjotyzmie niemieckim, gdyż jeżeli on chce być rozsądnym, przyznać musi, że nie ma żadnych powodów do nienawiści. Bo jeśli mając do kogoś pretensję, zastawiliśmy na niego tak zręczne sidła, że przygotowawszy się do walki, pobudziliśmy go najprzód do wyzwania, a następnie zgnietli i złupili, to doprawdy w najsilniejszym egoizmie nie znajdziemy najsłabszej pobudki, którąbyśmy nienawiść do pokonanej ofiary żywić mogli. Więc też i Niemcom pozostaje dziś tylko albo uważać swą zemstę za dostateczną albo za wielką — trzecią możliwość usuwają wszystkie dodatnie — ludzkie uczucia. Niestety inaczej rozumują uczucia niemieckie, i dla tego bez wstydu przysądzają sobie prawo nienawidzenia Francji. Ale jak powiedziałem, na tem moralnem bagnie migają ogniki czystych sumień — od nich czekano odpowiedzi na świeżą klęskę Francuzów. Jedna rodzima dusza Germanji nie odezwała się ze współczuciem. Jednej na tysiąc brakło odwagi terroryzowanej politycznym fanatyzmem, innym z tego tysiąca egoizm stłumił wszelkie szlachetniejsze drgnienia. I byłyby niemieckie serca przeszły z zupełną obojętnością koło wielkiego nieszczęścia, a dzieje zapisałyby wymownie charakterystyczny fakt kamiennego samolubstwa, gdyby Francja nie zniżyła się do upokarzającej ją prośby. Narodom jak jednostkom nawet przy poczuciu swej godności zbywa często na tej szlachetnej dumie, która w nieszczęściu każe przed krzywdzicielem raczej zacisnąć rękę do groźby, niż ją otworzyć do jałmużny. Tej dumy zabrakło Francuzom, a może tylko kompromitującemu ich ciągle rządowi, który przez swych pełnomocników zaczął żebrać na dochód ofiar wylewu. Wstrętna małoduszność, aż przy niej niemieckie samolubstwo zmalało! Poszkodowane jednostki mogły się rozejść po całym świecie, stanąć na wszystkich rozstajnych drogach z wyciągniętą ręką, i toby narodowi nie ubliżało; ale żebrać urzędownie, żebrać u najstraszniejszego nieprzyjaciela — hańba nieusprawiedliwiona żadnem nieszczęściem! Naturalnie żebracze wezwanie dostało się do niemieckich sakiewek; jedne otworzyły się szlachetniej, to jest czyniąc jednocześnie zadość pobudkom współczucia, inne szczelnie egoizmem zamknięte — dla okazania swej wspaniałomyślności. Ostatni, chociaż im jałmużna opłaciła się zadowoleniem miłości własnej, woleliby jednak zrzec się tego zadowolenia. Gdy konsul francuski w jednem z miast niemieckich zrobił odezwę do mieszkańców, ci mimo przeciwnej opinji, złożyli radę i postanowili uledz moralnemu naciskowi t. j. posłać dotkniętym powodzią kilka tysiecy franków. Jaki zaś był nastrój opinji łatwo wywnioskować można z odpowiedzi, jaką główny dziennik tego miasta dał na wezwanie francuskiego posła. Kraj — słowa tego szlachetnego organu — który mógł w przeciągu roku wypłacić *nam 5 miljardów* kontrybucji, nie zasługuje na żadne od nas wsparcie. Przyjrzyj się czytelniku rozważnie temu rozumowaniu. W jasnem tłumaczeniu brzmiałoby ono tak: ponieważ Francja mogła w ciągu roku wypłacić 5 miljardów, więc należy tylko od niej brać ale nie dawać; nadto ponieważ owe 5 miljardów wypłaciła Niemcom, więc Niemcy nie mają obowiązku jej wesprzeć w nieszczęściu.

Jakże to wysoce charakterystyczne! a przytem niemieckie! Czytając podobne opinje, zdaje nam się, że je wygłaszają jacyś wyjątkowi ludzie, którzy dla przypodobania się tygrysiemi instynktami ożywionej gromadce, narażają w obec ogółu swój rozum i uczciwość Gdzie tam! Jest to wyznanie tych organów prasy, które istnieją dla rdzenia narodu, dla nieśmiertelnych i przez tenże naród niejednokrotnie wyklinanych nacjonalno-liberałów.

Mówię wyklinanych przypuszczając, że albo czytelnik słyszał o tym elemencie od innych pism, albo sobie dawniejsze moje doniesienia przypomina. Wyznać jednak muszę, że tak zwana *Culturkampf* dziś znacznie osłabła. Co zaś jest owa *Culturkampf* doprawdy ściśle bym powiedzieć nie umiał, mimo że na jej rozwój z bliska patrzę. Wątpić nawet można czy sami niemcy umieliby określić to zjawisko. Najlepszym tego dowodem jest potop broszur i książek zalewający bieżącą literaturę rozprawami tej nazwy. Każdy stara się na swój sposób objaśnić ową *cywilizacyjną walkę*, a w rezultacie przekonywa tylko innych, że ze swej strony nowe równie słuszne objaśnienia dać mogą. Gdybym musiał zabrać głos w tej sprawie, powiedziałbym, że przez *Culturkampf* rozumiem na olbrzymią skalę wykonywane sadzanie do kozy z jednej strony, i opór pójścia do kozy z drugiej. Wszystkie bowiem pojedyncze i najrozmaitsze zdarzenia dadzą się zredukować do tych dwu wyrazów, do walki aresztowanych z aresztującymi. Że taki wspólny mianownik podpisać można pod większość wypadków, przekonywa najlepiej nowowprowadzony przez niektóre gazety *Culturkampf calender*, w którym systematycznie codzień zapisywane bywają imiona męczenników. Z tego Kalendarza okazuje się*) „że w pierwszych miesiącach bieżącego roku sądy skazały do więzienia w ogólnej sumie na 55 lat, 11 miesięcy i 6 dni, kar pieniężnych wyznaczono ogółem 27.843 marek i 75 fenigów. Wyrokom tym uległo 241 duchownych, 210 obywateli, 136 redaktorów; z kar zaś tych na 41 obrażeń majestatu przypada 12 lat, 8 miesięcy i 14 dni: na 68 obrażeń kanclerza: 8 lat, 5 miesięcy, 11 dni i $210^1/_2$ talarów. Przytem miało miejsce 30 konfiskat, 55 aresztowań, 74 rewizyj, 103 wydaleń i wysyłek, 55 zniesień związków i 72 uwolnień. Cyfry te nie są żadnem zmyśleniem, gdyż opozycyjna część prasy co miesiąc pomieszcza drobiazgowy wykaz w kategorjach dni i miejscowości. Jak zaś to szybko idzie, dość powiedzieć, że już miesiące ostatnie w owym Kalendarzu swoje ofiary głoszą. Wczoraj n. p. *Frankfurter Zeitung* (Nr. 200) wśród długiej litanji nazwisk zanotowała pod jedną z pozycji takie doniesienie: „*Kulm*: Redaktora „Przyjaciela Ludu“ Suffczyńskiego zasądzono na dwa, a wydawcę Tomaszewskiego na rok więzienia za pomieszczenie mowy posła Niegolewskiego mianej w sejmie, nadto pierwszego za wezwanie do składek, na pokrycie kosztów w procesach pisma, na 150 marek lub 4 tygodnie kozy. Pismo to od czasu wyjścia pierwszych *praw Majowych* uległo już 12 aresztom, 25 zaskarżeniom i tyluż wyrokom pierwszej instancji, tylko 5 razy unieważnieniom w drugiej. Czterech jego redaktorów skazano dotąd ogółem na karę 48 miesięcy więzienia, i nadto na zapłacenie 1545 marek. Koszta procesów i kar owych redaktorów wynoszą dotąd około 9000 marek.“

Na wzór tej notatki możecie sobie łatwo dorobić wyobraźnią inne wypadki *Cywilizacyjnej walki* i jej *kalendarza*. Jak wspomniałem, charakterystycznem jeśli nie wyłącznem tłem pierwszem jest koza, do której jedni namiętnie sadzają drudzy uporczywie iść nie chcą. Ta cywilizacyjna chociaż nie cywilizowana awantura rzeczywiście przycichła, co dzienniki przypisują chęci pojednania się zwaśnionych i zmęczonych żywiołów. Być może, chociaż także nie ulega wątpliwości, że ubezwładniający wpływ letniej atmosfery znacznie do tego spokoju się przyczynił. W koalicji z piwem, które w skwarnych miesiącach, obficiej płucze niemieckie gardła i chloroformuje mózgi, mógł bardzo łatwo osłabić pulsa obustronnym namiętnościom. Zresztą mówiąc językiem jednego humorystycznego rysunku, główny rycerz *des Culturkampfes* jest obecnie na trawie, więc i kampanja nie może się odbywać z takiem jak wprzódy natężeniem. Przyznać jednak trzeba, że rząd w teraźniejszem swem zachowaniu się wobec *Culturkampf* zdradza pewne cofanie się od środków zbyt radykalnych i chęć przekupienia elementów najgroźniejszych. Spostrzeżono bowiem, co było wreszcie jasnem, że w społeczeństwie hzstorycznie rozwiniętem, oświeconem i wżytem w trudne do ugięcia normy, nie można z powodzeniem robić gwałtownych przewrotów, nawet przy pomocy wszechwładnej mocy, wiernej policji, armji i wytresowanych do służby najemników. Jakaś jednostkowa potęga może zapanować nad Anglją lub Francją, może im odebrać całą obywatelską swobodę, może znaleźć dość służalców w parlamencie, którzy ten przewrót zatwierdzą i w prasie, którzy go rozsławią; ale nigdy nie zdoła zyskać szczerego przyzwolenia i zadowolenia narodu. Naród ten będzie cierpliwie siedział w sztucznie i na prędce dlań zrobionych kadrach, będzie nawet dla własnej pociechy udawał, że mu w nich wygodnie, ale z czasem zabraknie mu i tej cierpliwości i złudzenia, a wtedy nagle lub zwolna upomni się o swoje dawne warunki. Tak będzie albo raczej tak jest już w Niemczech, gdzie najwięcej jest takich, którzy robtą *une bonne mine à mauvais jeu.*

Jest to niemal matematycznem prawdopodobieństwem, że gdyby nie ciągle odgrzywane i na rozmaity sposób przyprawiane wspomnienia ostatnich wojennych tryumfów, gdyby nie uroczyście obchodzone rocznice, gdyby nie pomniki, obrazy, poezje, powieści, naukowe dzieła łechcące dumę i patrjotyzm, społeczno-polityczna budowa Niemiec zaczęłaby się już dziś rozpadać. Te jednak podpory ciągle ją pod-

*) *Beobachter* Nr. 112, *Frankfurter Zeitung* 106 i inne.

trzymują i długo podtrzymywać będą. Wybornie ku temu dopomaga fenomenalnie w niemcach rozwinęty i nad całą ich istotą panujący instynkt zaborczości. Każdy nowo-nabyty przez nich skrawek ziemi, każda nowo-zdobyta pozycja obiega natychmiast radośnem hasłem po całem plemieniu. Gdzie się Francuzi lub Anglicy wcisnęli, wiemy bardzo późno, gdyż każdy z tych narodów stara się ukryć lub dobrze upozorować wszelką aneksję. Dla niemca każde nowe przywłaszczenie jest powodem dumy głośno objawianej, i niezapierającej się widocznego pogwałcenia cudzych praw. Dla niego pochwalić się publicznie wcale nieusprawiedliwionym zaborem, zawsze równa się dumie z własnej wielkości i genjuszu. Wymownych dowodów dostarcza każdy niemal tydzień. Ot n. p. zajrzyjmy do świeżej odezwy rozlepionej przed kilku tygodniami po wszystkich wyższych naukowych instytucjach niemieckiego plemienia, zachęcającej młodzież do udziału w wielkiej uroczystości. Jakiej? W Czerniowcach, na Bukowinie, rząd austrjacki założył uniwersytet.... niemiecki.

Kto wie do jakiej rodziny ludów należą bukowińcy, ten łatwo się domyśli, że założenie owego uniwersytetu jest środkiem politycznej anneksji, że w słowiańskiej ziemi ufundowano niemiecką twierdzę przeciw żywiołowi krajowemu. Nie potrzeba uczyć się i radzić żadnej głębokiej etyki, ażeby oznaczyć moralną wartość tego wypadku. A jednak niemcy zrobili zeń przedmiot swej niezrównanej chluby. Owa odezwa zapraszająca studentów na obchód otwarcia Uniwersytetu, pieni się patrjotyczną dumą, że niemiecka wiedza taki „tryumf“ odniosła i nadzieją, że niemiecka potęga zawładnie „najdalszym Wschodem.“ Cokolwiek czulsze sumienie drętwieje słysząc, że młodzież karmi swoje narodowe uczucia takim cynizmem. Bo przecież ślepym i głuchym wiadomo, że owa fundacja Uniwersytetu jest czysto zaborczym manewrem politycznej strategji, a nie „tryumfem niemieckiej wiedzy.“ Autorom tej bezwstydnie nadętej elukubracji nie przemknęło się nawet po myśli, że według naszych obecnych pojęć moralnych chcąc ów „najdalszy Wschód“ zająć, trzeba mieć przecież do tego jakieś prawo, uczciwsze od praw pałki lub podstępu. Dla nich jak i dla ich narodu, słusznością jest fizyczna siła i jej rezultaty. Gdyby dziś wycięto w pień Buszmanów lub Koluszów i zasiano pustą ziemię germańskim rojem, inteligencja niemiecka widziałaby w tym fakcie tryumf swej cywilizacji. Nie znam nawet ze słyszenia żadnego w świecie narodu, któregoby sumienie tak słabo rozeznawało cudzą krzywdę i mniej krępowało się w swym egoizmie. W jednej i tejże samej chwili, w tymże samym dzienniku i artykule, zdolne jest wzywać pomsty wszystkich niebieskich i ziemskich potęg za śmierć jakiegoś swego ziomka, zabitego przez karlistów, i z zadowoloną pychą opowiadać światu jak sami zręcznie zabili naród. Nieraz trudno wierzyć własnym uszom słysząc tę cyniczną chwalbę. Żeby Europa utrzymała się w jakiej takiej równowadze, muszą jej społeczeństwa rzucać na jednę szalę wielkie cnoty, ażeby nie dać przeważyć się drugiej, na której tylko niemieckie samolubstwo spoczywa. Jeśli straszny ten żywioł nie zostanie ujęty w nieprzełamane karby, jeśli nieoględność lub słabość innych państw pozwoli mu się swobodnie rozszerzać, cywilizacja zacznie wkrótce bieg swój zwalniać. Niech nam nikt nie prawi komunałów o wysokości niemieckiej oświaty, bo o niej dobrze wiemy, ale wiemy zarazem, że ona w umysłowych kierunkach jest jednostronną i potrzebuje dopełnienia innemi pierwiastkami, których nie posiada, i których nigdy z siebie nie wydobędzie, że w moralnej sferze szczepi barbaryzm. Nic tu nie znaczą cnoty strzeżone w obrębie swego plemienia lub państwa, bo je spotkać można u Jakutów lub Eskimosów. Dzisiejsza cywilizacja wymaga nadto cnót międzynarodowych, których właśnie niemcom brak, a bez których ciągle dopuszczać się będą bezprawia.

O małom nie przepomniał drobiazgu, zasługującego na krótką notatkę. Na czele podpisów studenckiej odezwy, o której wyżej mówiłem, figuruje nazwisko polskie, a w każdym razie słowiańskiego jakiegoś p. *von Kochanowskiego*. Niemcy umieszczając to nazwisko na froncie i drukując je wielkiemi literami, chcieli może niem wyilustrować swą dumę.... wymowniej jednak chyba wyilustrowali nią nazwisko.

Ale...

BIBLIOGRAFJA.

Angielska.

— „Historic and Monumental Rome. A Handbook for the Students of Classical and Christian Antiquity in the Italian Capital“ By C. J. Hemans. 1875. Londyn. Williams et Nargate.

„Historyczny i pomnikowy Rzym“ Hemana jest wybornym podręcznikiem, w najlepszem i najwyższem znaczeniu tego słowa. Stanowi on niejako dopełniający tom do wychodzącego w serjach dzieła jego „Mediaeval Christianity and Sared Art in Italy“ — jest jednak w rzeczywistości samodzielną i skończoną w sobie pracą. Autor podczas długoletniego pobytu w Rzymie poznał gruntownie starożytności tak klasyczne jak i chrześcijańskie, chociaż należy wyznać, że klasyczne zaniedbał nieco w swojem dziele. Zadaniu jednak, jakie sobie postawił, dorównał w zupełności; przejęty jest bowiem jak najgorętszym interesem tak względem estetycznej, jak historycznej strony swego przedmiotu—a erudycja i spokojna gruntowność nigdy go nie odstępują. Natomiast nie posiada daru przedstawienia. Dzieło jego czyta się ciężko i szorstko, prawdziwą zadając czytelnikowi pracę. Przeglądając wszystkie estetyczne i pomnikowe skarby Rzymu, i oceniając je uczuciem artysty i zmysłem krytyka zarazem—autor przechodzi dzieje ich powstania i trwania —aż do epoki obecnej. Tu sąd jego wahać się zaczyna. Niejasną jest rzeczą, czy z obecnej zmiany rządu we Włoszech wnioskuje pomyślnie, lub nieprzychylnie dla utrzymania starych pomników sztuki. W tym względzie sam z sobą w częstą sprzeczność popada: raz podnosi znawstwo sztuki i wspaniałomyślność Piusa IX. który tyle dla pamiątek cennych w Rzymie uczynił,—gdzie indziej znowu żali się gorzko, na zniszczenie historycznej bramy „Porta Salaria“ i zastąpienie jej budową nowoczesnej od Wiktora Emanuela nazwanej struktury, — a w innem miejscu nareszcie mówi o wandalizmie papieży w innych perjodach, mianowicie pod Sykstusem V.— podnosząc w przeciwstawieniu zaszczytną działalność obecnego rządu. Zresztą, jak już powyżej napomknęliśmy, Hemans mniej jest obeznany z atmosferą klasycznego Rzymu, aniżeli chrześcijańskiego, i wada ta wyraziście w pracy jego się odbija. Trafną jednakże bardzo jest jego uwaga, że kontrast pomiędzy pogaństwem a chrystjanizmem najbardziej się w tem uwydatnia, iż pomimo takiej pasji do budowania w patrycjuszach za cesarzów, nie znaleźć tam nigdzie ani śladu budowli dobroczynnych i miłosiernych. Żadnego schronienia dla biednych, chorych, starców, kalek, — nic, coby odpowiadało naszym szpitalom, przytuliskom i t. d. nie istniało za rzymskiego cesarstwa.

Ofiarom z ludzi poświęca Hemans w dodatku notę, w której zawarty pogląd podzielamy, pomimo iż taka powaga jak Mommsen jest przeciwnego zdania. Hemans utrzymuje, iż ofiary z ludzi istniały u Rzymian nie tylko w czasach przedhistorycznych, ale także za rzeczypospolitej i nawet długo jeszcze pod cesarzami. Według podania Plinjusza, dopiero w 95 r. przed Chr. zwyczaj ten zniesionym został dekretem senatu. Jednakże nie wiele to pomogło. W dwa wieki jeszcze potem edykt Hadrjana nie był zdolnym w zupełności ofiar z ludzi wykorzenić. Zdanie Hemana jest zupełnie słusznem. Na poparcie jego dosyć przytoczyć kolosalny materjał zebrany w tej kwestji przez Döllingera w jego „Heidenthum und Judenthum“ — Streszczając sąd nasz o dziele Hemana, polecamy je jako znamienity podręcznik i wielce pożyteczną lekturę.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— Krakowska Akademja umiejętności widocznie usiłuje zaskarbić sobie łaskę Moskali, jeżeli ci przyjdą do Galicji, bo mimo słusznego nacisku ze strony całego kraju, nie chce wyprzeć się ohydnych zasad p. Walewskiego. W jego miejsce prezesem wydziału historycznego został mianowany p. Józef Szujski, który w swojej mowie wstępnej powiedział, że p. Walewski nie został usunięty z prezesostwa za nieuctwo, które mu ten sam p. Szujski udowodnił, ani za nikczemne zasady, które cały kraj wykazał, ale dla tego, że w p r o w a d z i ł p o l i t y k ę w d z i a ł a n i a A k a d e m j i. Jeżeli tak mówi p. Szujski, którego uważaliśmy dotąd za uczciwego patrjotę, to czegoż możemy spodziewać się po innych członkach tej instytucji? Oto dokąd wiedzie stańczykowstwo.

— Głośny utwor sceniczny Juljusza Verne: „Podróż naokoło świata w 80 dniach“ pojawił się nareszcie na scenie lwowskiej. Towarzystwo zagraniczne jeżdżące po całym świecie z dekoracjami, słoniem i wszystkiemi innemi przyrządami, zakwaterowało się w najlepsze w teatrze hr. Skarbka, i ile nam wiadomo, zamierza dać 10 przedstawień z rzędu. Na pierwsze trzy przedstawienia wszystkie bilety były zakupione.

— Sprawozdanie wydziału Czytelni akademickiej we Lwowie za rok 1875. Sporą, bo siedmdziesiątkilka stronic liczącą broszurę noszącą tytuł powyższy mamy przed sobą. Czytelnia akademicka obok „Gwiazdy“ jest jedynem u nas stowarzyszeniem, które się z każdym rokiem rozwija, i na coraz silniejszych zaczyna się opierać podstawach. W ubiegłym roku szkolnym w pierwszem półroczu liczba członków dosięgła niepraktykowanej dotychczas wysokości, wynosiła bowiem 330 członków zwyczajnych i nadzwyczajnych, podczas gdy w latach ubiegłych stan najwyższy przedstawiał 253. Wydział szczególną uwagę poświęcił bibljotece, na którą wydano bardzo poważną sumę: liczy ona obecnie 2474 dzieł w 5160 tomach. Wieczorków naukowo-literackich było 28, w których brali udział pp. Jan Amborski, Michał Chyliński, Karol Rawer, Karol Petersch, Fryderyk Papée, Antoni Prochaska, Ludwik Birkenmajer, Józef Zimermann, Roman Maurer, Stanisław Lukas, Stanisław Nurkowski i Marceli Turkawski; a wieczorków muzykalno-deklamacyjnych 15. Ogólny przychód wynosił 5110 złr. 54 ct., rozchód 2612 złr. 67 ct, pozostało w kasie 2497 złr. 57 ct. z tego przypada na fundusz żelazny 1672 złr. a na obrotowy 825 złr. 87 ct. — Jako dodatek do sprawozdania dołączoną jest mowa dr. E. Czerkawskiego, którą zakończył uroczysty obchód 19tej rocznicy skonu A. Mickiewicza, urządzonej staraniem Czytelni akademickiej, i rozprawa naukowa Ludwika Birkenmajera słuchacza wydziału filozoficznego p. t. „O rozszerzalności ciał wskutek podwyższenia ciepłoty.“

— Między żyjącymi pisarzami obok naszego Kraszewskiego, jest najpłodniejszym węgierski powieściarz Jokaj. Od r. 1846 do 1875 napisał on nie mniej jak: 100 tomów powieści; 28 tomów utworów humorystycznych; 5 tomów historycznych i politycznych; 4 tomy poezji, 8 tomów roczników i 48 tomów krótkich powiastek.

— W łonie krakowskiej Akademji umiejętności podjęto myśl ułożenia dokładnego spisu wszystkich ważniejszych artykułów, umieszczonych po pismach perjodycznych. Myśl to bardzo pożyteczna, gdyż wiele cennych prac przepadało dotąd po pismach — i nikt nie wiedział gdzie ich szukać.

— *Prospekt.* — *Rappersywyl.* — *Pismo zbiorowe pod redakcją J. J. Kraszewskiego.* Zarząd Muzeum narodowego w Raperswylu, w odezwie swej, niedawno ogłoszonej, objaśnił w jakiem położeniu instytucja się znajduje obecnie. Pomnażają się zbiory z dniem każdym ofiarami nowemi, ale potrzeba umieszczenia ich staje się coraz gwałtowniejszą. Dla przyjścia w pomoc instytucji w jej wydatkach, a zwłaszcza na restaurację drugiego piętra w zamku muzealnym, oprócz odwołania się do ofiarności ogółu, zdało się zarządowi właściwem uciec się do środka najmniej dla ofiarodawców uciążliwego, a połączonego z pożytkiem i z przyjemnością — do wydawnictwa pisma zbiorowego, na które prospekt ogłaszamy. Mając sobie zapewnioną pomoc chętną najznakomitszych naszych pracowników na polu naukowem i literackim, zarząd zamyśla wydać zbiór prac historycznych, beletrystycznych, naukowych opowiadań, badań dokumentów, których redakcją zajmuje się członek Zarządu J. I. Kraszewski. Zbiór zawrze się w jednym obszernym tomie, który wydany zostanie we Lwowie, jak tylko dostateczna liczba materjałów zostanie zgromadzoną. Przypominamy więc wszystkim, którzy dla Muzeum okazali współczucie, i wzywamy chętnych pracowników do kollaboracji i nadsyłania artykułów pod adresem J. I. Kraszewskiego (Drezno, 27. Nordstrasse) lub Agatona Gillera (Lwów, w redakcji *Gazety Narodowej*). Wszelkie prace historyczne, beletrystyczne itp. z wdzięcznością przyjęte będą i o ile możności pomieszczone. Termin nadsyłania naznacza się do miesiąca marca 1876 r. Mamy nadzieję, że równie pisarze nasi, jak czytelnicy i ogół, poprą myśl tego wydawnictwa, mogącego stać się perjodycznem i dopomagać do zgromadzenia szczególnej history-

-cznych badań i niewydanych dokumentów. Cena pisma zbiorowego dla prenumeratorów, którzy się zgłoszą do dnia 1. marca 1876, naznacza się 3 zł. reńskie 50 centów, a po wyjściu z druku podniesioną zostanie do 5 złr. Jeszcze raz wyrażamy nadzieję, że tak piszący jak czytelnicy, zechcą współczuciem swem dla pisma okazać uznanie dla instytucji i dla jej celów, które w odezwie z dnia 8 września r. b. jasno wykazane zostały. Prenumerować można w Dreznie u J. I. Kraszewskiego, Nordstrasse, 57.; we Lwowie u Agatona Gillera w redakcji *Gazety Narodowej* i w księgarni Gubrynowicza i Schmidta; w Szwajcarji u hr. Władysława Platera w Rapperswylu, w zamku muzealnym. — Dnia 11. listopada 1875 r. — Zarząd Muzeum narodowego w Rapperswylu. P. S. Wszystkie pisma tak polityczne jak literackie upraszamy o powtórzenie tego ogłoszenia i o pośrednictwo w zbieraniu prenumeraty, *Zarząd Muzeum.*

— Nowa operetka Offenbacha „Kreolka" przedstawiona w Paryżu pierwszy raz d. 3. bm. zrobiła prawdziwą furorę. Muzyka jest nadzwyczaj miła i dowcipna.

— Dzieło Payera o podróży do bieguna północnego, drukuje się obecnie po niemiecku w ilości 85.000 egzemplarzy.

— Oddawna krążyły głuche wieści, że sławny pisarz francuski, Juljusz Verne, jest Polakiem. Warszawski *Wiek* potwierdza to teraz kategorycznie. Oto co pisze: „Komu z naszych czytelników nie jest znanym ów pisarz francuski, popularyzujący naukę w prześlicznych opowiadaniach, pełnych wdzięku i zajęcia? Kto dziś nie czytał i nie zachwycał się książkami Juljusza Verne? Podróże do „śrdka ziemi," na „księżyc", pod „północny biegun," na „około świata" czytano w oryginale, tłumaczono na polskie i czytano znowu w tłumaczeniach. Młode pokolenie przepada za czarującemi utworami, a popularność jego u nas wyrównywa popularności niektórych naszych pisarzy. Otóż powiemy dziś czytelnikom naszym, że naturalizując go na rodzinnego autora, publiczność nasza nie pomyliła się bardzo, Jules Verne bowiem jest Juljuszem Olszewiczem i pochodzi z Płockiego, a brat jego rodzony, pozostający z nim w ciągłych przyjaznych i zażyłych stosunkach, nie wyruszył nigdy z kraju, gdzie jest ajentem sprzedaży dóbr i lasów. Z tak pewnych i wiarogodnych ust posiadamy tę wiadomość, że śmiało dzielimy się nią z czytelnikami naszymi, którzy niezawodnie ucieszą się, znajdując rodaka w ulubionym u nas francuskim pisarzu." Jeżeli to wszystko jest prawdą, dziwi nas, dla czego p. Verne ukrywa swoją narodowość.

Szkolnictwo.

— Uniwersytet lwowski może w niedługim czasie zostać prawdziwie znakomitym, jeżeli młodzi nasi uczeni, znani z głębokiej wiedzy, wytrwałej pracy i zapału do nauki, którzy w ostatnich czasach zaczęli się doń garnąć, znajdą takie przyjęcie, na jakie zasługują. Dr. Julian Grabowski jest już docentem chemji, znany z licznych prac filozoficznych, Dr. Juljan Ochorowicz, przyjechał do naszego miasta aby kompetować o docenturę filozofji, Dr. Z. Rościszewski, zoolog z zawodu, były profesor szkoły Żabikowskiej, postanowił starać się o docenturę przy tutejszym uniwersytecie, p. Bruno Abakanowicz, przyrodnik i technik z Rygi przyjechał do Lwowa w tym samym zamiarze, a jak się dowiadujemy, Dr. Aleksander Świątochowski, postanowił także do nas przyjechać z początkiem przyszłego miesiąca, w celu starania się o docenturę z historji starożytnej. Im więcej zdolnych docentów, tem świetniejszy uniwersytet. Mamy przeto nadzieję, że osoby, od których to zależy, dołożą starań, aby nasi młodzi uczeni znaleźli i u nas pole do pracy i przyczynili się do podniesienia uniwersytetu lwowskiego.

— Rozwój nauczania wyższego, znajduje się na porządku dziennym we wszystkich krajach. Lecz się do niego nie wszędzie w jednaki biorą sposób i nie wszędzie ten sam mają cel. W chwili gdy duchowieństwo francuskie agituje zakładanie uniwersytetów katolickich, nie bez interesu będzie opowiedzenie tego, co się robi w Baltimore około zorganizowania uniwersytetu Hopkinsa. Zakład ten, mający się otworzyć w 1876, składa się z trzech części: z uniwersytetu właściwego, ze szkoły medycznej i ze szpitalu: które to części, różne wprawdzie, uformują jedną całość.

Fundator, Jones Hopkins, zmarł w roku zeszłym, pozostawiając na ten cel kwotę, obliczoną na więcej, niż 15 miljonów franków. Wolą swoją ostatnią zamianował egzekutorów testamentarnych dziewięciu w trzech ciałach: jedno dla uniwersytetu, drugie dla szkoły medycznej, trzecie dla szpitalu. Egzekutorowie posiadają jak największą swobodę działania; wszelako formalnie zalecono im jest przedsięwzięcie kroków w tym celu, ażeby polityka, zwłaszcza zaś religja, surowo wykluczonemi były ze wszystkich części nauczania.

Egzekutorowie testamentarni, porozumiawszy się kilka miesięcy temu, zamianowali prezydentem uniwersytetu p. Henryka Gillman, b. prezydenta uniwersytetu w San-Francisco.

P. H. Gillman, przyjąwszy piękne to posłannictwo, udał się niezawodnie do Europy, celem poinformowania się o stanie uniwersytetów w Anglji, w Francji, w Niemczech etc.

Za powrotem jego do Ameryki, otworzone będą kursa nauk i prawa w lokalu tymczasowym. Ostatecznie uniwersytet zbudowanym zostanie wówczas, gdy zorganizowanymi będą wszystkie kursa; wówczas bowiem dopiero utworzyć sobie będzie można wyobrażenie dokładne tak o rzeczywistych nauczania potrzebach, jakotoż o sposobach pogodzenia takowych.

Pismo angielskie *The Nature* zawiadamia nas, że p. H. Gillman znajduje się obecnie w Londynie, objechawszy już raz znaczniejsze scjentyficzne miasta na kontynencie. Zamówił jednego dopiero profesora, p. H. A. Rouland, młodego fizyka angielskiego, który dał się już poznać pracami o magnetyzmie i który wykładać będzie fizykę matematyczną.

Zrekrutowanie ciała nauczającego, nie obejdzie się bez trudności niejakich, albowiem p. H. Gillman poszukuje nie samego tylko talentu wykładowego, który, acz potrzebny, jest atoli podrzędnym w oczach jego. Instrukcje polecają wybierać ludzi, którzy w karjerze swojej scjentyficznej okazali rzeczywistego ducha inicjatywy i którzy nie poprzestawszy sami na wyuczeniu się i przetrawieniu lekcyj wysłuchanych, będą w stanie wszczepiać w słuchaczy swoich rzeczywiste do poszukiwań naukowych zamiłowanie.

Celem uniwersytetu baltimorskiego jest służyć postępowi naukowemu, nie zaś kształcić świetne papugi, zdolne przy każdym egzaminie dobrą dostawać kreskę.

Nie fabryką bakalarzy, licencjatów, ani nawet doktorów chciał p. J. Hopkins obdarzyć ojczyznę swoją lecz instytucją godną ludu wolnego, rzeczywistą wolnej myśli świątynią.

Statystyka.

— *Times* ogłasza rezultat pierwszego regularnego i zupełnego spisu ludności w Indjach angielskich, w tym roku dokonanego. Obszar kraju wynosi 904,049 angielskich mil kwadratowych. Na tym obszarze żyje obecnie 190,564.048 ludzi. Na milę kwadratową wypada w przecięciu mieszkańców 211 (w Anglji około 422) a domów mieszkalnych 41. Z wielkich miast w Indjach angielskich liczy Kalkuta mieszkańców 795.000, Bombay 644.000, Madras 398.000. Pod względem wyznania dzielą się mieszkańcy Indji angielskich na 140 i pół miljonów Hindu, $40^3/_4$ miljonów Mahometan i 9 i ćwierć miljonów buddystów, jainów, chrześcjan, żydów, parsów i pogan w górach Himalaya żyjących, o których religji nie mamy dotąd pewnych wyobrażeń. W liczbie około 900 tysięcy chrześcjan zamieszkujących w Indjach angielskich, znajduje się 250.000 Europejczyków lub potomków tychże. Trzy piąte ogólnej liczby chrześcjan osiedlone są w prowincji Madras, gdzie stanowią $^{13}/_4$ procent ludności. Pominąwszy niezliczone djalekta krajowców i plemion górskich, jest w Indjach w użyciu 23 języków najrozmaitszych pierwiastków. Różnica kast pomiędzy mieszkańcami Indji bez porównania jest większą jeszcze niż różnica narodowościowa. W prowincjach północno-zachodnich naliczono kast 307, w Bengalji zaś podług p. Beverley przeszło 1.000. Co do stosunku liczebnego obojej płci, sprawdzono, że liczba mężczyzn równa się prawie zupełnie kobiet; tylko w okolicach, gdzie przeważają kasty wyższe, zwłaszcza tak zwani Radżputowie, płeć żeńska znajduje się w mniejszości, ponieważ w kaście tej dochowuje się barbarzyński zwyczaj zabijania nowonarodzonych dziewcząt. Co do sposobu zatrudniania mieszkańców, naliczono 1,236.000 osób zostających w służbie rządowej, 629.000 duchownych (w tej liczbie 849 chrześcjańskich), 30 tysięcy mnichów żyjących z jałmużny, 10 tysięcy astrologów(!), 5 czarnoksiężników(!) a 465 takich indywiduów, które z rzemiosła trudnią się exorcyzmowaniem djabła w opętanych! Dalej naliczono 189 tysięcy uczonych profesorów, literatów, artystów itp. w tej liczbie 518 poetów, 33 tysięcy prawników, 75 tysięcy „medycynierów" i 218 akrobatów jarmarcznych, kuglarzy, znachorów itp.; w końcu 37 i pół miljonów gospodarzy na roli, 850 000 hodowców słoni, wielbłądów, koni i trzód wszelakich, oraz myśliwych i rybaków, 3,441.000 kupców, handlarzy i kramarzy, 8,747.000 rzemieślników. Do klas wcale nieprodukcyjnych należy 2,265.000 mieszkańców; z tych niektórzy oddają się szczególniejszym zajęciom: i tak zapisało się 22 jako gracze, 49 jako szpiegi, 361 jako złodzieje z profesji a 30 jako szalbierze i gotowi na wszystko!

Stowarzyszenie pracy kobiet.

— Wykłady przedmiotów dotyczących szkoły handlowej w lwowskiem stowarzyszeniu Pracy kobiet, rozpoczną się 1. grudnia 1875 r. Obok istniejącej już drugi rok buchalterji przez pana Eugenjusza Wędrychowskiego wykładanej, następujące nauki otwarte zostaną: Arytmetykę kupiecką wykładać będzie profesor Stanisław Tokarski 3 godziny tygodniowo, a mianowicie: w poniedziałek, środę i piątek od godziny 5. do 6. wieczorem. Język niemiecki pani Kętrzyńska we wtorek, czwartek i sobotę od godziny 3. do 4. po południu. Korespondencję kupiecką profesor Huppenthal od 15. grudnia — godziny jeszcze nie postanowione. Członkowie mają naukę bezpłatną, obcy zaś płacą za cały kurs czterech wymienionych przedmiotów 15 zł. wal. austr., pojedynczo za jeden przedmiot 5 złr. wal. austr. Wpisy przyjmuje biuro stowarzyszenia w rynku l. 10. I piętro. Zarząd Stowarzyszenia przypomina, że jeszcze trzy uczennice mogą korzystać z nauki robót drutowych na maszynach, w tym celu przez wys. ministerstwo handlu Stowarzyszeniu danych. Pracownie: krawiectwa, szycia białego i szewstwa, wykonują zamówienia starannie, elegancko i podług najświeższych wzorów. *Celina Łączyńska*, przewodnicząca.

ROZMAITOŚCI.

— Było to w karnawale roku pańskiego 1583. W pięknym gaiku platanowym po za książęcym pałacem w Mantui, przechadzali się dwaj kawalerowie, obaj młodzi jeszcze, świetnym strojem swoim i dostojną miną okazujący, że wysokie stanowisko zajmują na dworze. Pierwszym z nich był markiz de St. Chaumont, ambasador francuski, — drugim jeden z najosobliwszych ludzi owego czasu, sławny John Crichton, Szkot, wówczas 31 letni mężczyzna. „Messire — odezwał się Francuz — zważ na przestrogę, którą ci daję w jak najlepszej myśli. Ogniste oczy marchesy Negroni przyprawią cię o nieochybną zgubę, jeżeli nie przerwiesz swoich zalotów. Śledzą cię potężni panowie, których nienawiść pewnej śmierci się równa." — Panie Markizie — odparł na to Crichton dźwięcznym, spokojnym głosem, wzruszywszy lekceważąco ramionami — wiem ja dobrze o tem, że stoję tu wielom na drodze, i jestem serdecznej nienawiści przedmiotem; dopóki jednak łaska mego pana, księcia, mnie uszczęśliwia, nie obawiam się nikogo i niczego! W sprawach moich miłosnych idę, ma się rozumieć, jaką mi się podoba drogą. Gdy zaś nędznik jaki z flaszeczką trucizny lub błyszczącym sztyletem waży się stanąć pomiędzy mną a mojem bóstwem, rozgniatam bez dalszych ceremonij łeb zdradzieckiemu płazowi. Wiadomości, panie markizie, że to potrafię. Mimo tego jednak, dziękuję panu z całego serca za jego przyjacielskie dla mnie usposobienie. — „Nie wolno mi powiedzieć panu wszystkiego co wiem" — odrzekł na to dyplomata z miną tajemnicza — „bądź jednak nader ostrożny, messire, to moja rada! Nie ruszaj się w wieczór i nocą bez towarzystwa!" Szkot rozśmiał się. — Nigdy jeszcze nie chodziłem ze świtą na schadzki — zawołał wesoło — i zdaje mi się, że w takich okolicznościach byłoby to wielce niedogodnem. Z mieczem przy boku, i ze sztyletem za pasem, czuję się tak zupełnie spokojnym i bezpiecznym, jak za murami fortecy. —„O tak, pan jesteś znakomitym mistrzem w sztuce używania miecza, jak zresztą i we wszystkich

innych rzeczach — odpowiedział markiz. — Kocham i podziwiam pana nad wszelki wyraz i dla tego byłoby mi niesłychanie przykro, gdyby cię spotkało jakie nieszczęście. Najsławniejszego rębacza włoskiego, owego nikczemnego Spallanzani, zabijakę, który już tylu ludzi w pojedynkach pomordował, sprzątnąłeś ze świata jednem mistrzowskiem pchnięciem i nowy sobie ztąd zaszczyt zdobyłeś. Ale cóż poczniesz, gdy cała banda skrytobójców na cię naskoczy? Hę? będziesz musiał ugryźć ziemię żałośnie, drogi messire!“ — Nie bój się pan tego — odparł Crichton zuchwale. — Ze sztyletem w lewej, a z mieczem w prawej ręce, potrafię się przez godzinę całej szajce morderców nie dać, dopokąd pomoc nie nadejdzie. A teraz, bądź zdrów, panie markizie! Książe oczekuje mnie w sali gry w piłkę. Zobaczymy się na zabawie maskowej! — I wstrząsnąwszy serdecznie ręką przyjaciela, ruszył lekkim, elastycznym krokiem, z dumnie podniesioną głową do książęcego pałacu. Błękitny jedwabny kaftan opinał jego smukłą, elegancką, a pomimo to silną postać; krucze loki spływały mu w bogatych pierścieniach z pod czarnego beretu z chwiejącem się białem piórem, i obramiały młodzieńczo piękne jego oblicze, spoglądające na świat wielkiemi, błyszczącemi, pełnemi dowcipu oczyma. Patrzący za nim w ślad dyplomata, pokiwał głową. „Ten nieszczęśliwy — mruknął — ani się nie domyśla, jaka żmija gra z nim piłkę codziennie. Ha, jestem pewny, że gdybym mu był najwyraźniej na to zwrócił uwagę, nie byłby mi uwierzył. Jak można być tak roztropnym, tak uczonym, tak przenikliwym i zarazem tak łatwowiernym, tak niezdolnym do odgadnięcia łotra? Toż dla Boga, dosyć już długo przebywa we Włoszech, aby poznać zdradziecki charakter włoskich książąt i dworaków. No, pragnę wierzyć, że jego tylekroć wypróbowana dzielność i zręczność w obchodzeniu się z bronią, wyrwą go z biedy, jeżeli wpadnie istotnie w jamę pod nim wygrzebaną.“ I po tem szczerem życzeniu opuścił ruchliwy dyplomata również gaik platanowy i skierował się na plac Wirgilego, gdzie mieszkał... Poznajmy się tymczasem z naszym bohaterem. Jame's Crichton, z przydomkiem „Cudowny“ urodził się w roku 1552 w hrabstwie szkockiem Perthy, a wychowanie otrzymał w St. Andrews. Mając zaledwie lat dwadzieścia, mówił i pisał biegle dwudziestoma językami; żadna umiejętność nie była mu obca — a nadto był poetą, malarzem i muzykiem, jednym z najdzielniejszych rycerzy na turniejach, mistrzem w fechtunku, tańcu i jeździe konnej. Biedna Szkocja zwykła była wówczas młodszych synów szlachetnych familij wysyłać za granicę, aby sobie tam przymiotami umysłu lub biegłością w używaniu broni zdobyli majątek i sławę, których im ojczyzna udzielić nie mogła. Szczególniej Paryż był wielkim zbiornikiem tej młodej północnej szlachty, jużto służącej w gwardji szkockiej króla francuskiego, już też kończącej studja swoje na tamtejszym sławnym uniwersytecie. W 21 roku swego życia zjawił się Crichton w Paryżu, nie ażeby się uczyć, ale żeby uczoność pokazać. W kilka dni po przybyciu kazał przybić łacińskie wyzwanie ze swojej strony na bramie Nawarskiego kolegjum. Wyzywał on tam wszystkich uczonych, bez różnicy fakultetu, na dysputę, zostawiając przeciwnikom swoim wolny wybór jakiej zechcą umiejętności, i jakiego zechcą języka do rozprawy. Niesłychane to zuchwalstwo młodego cudzoziemca rozbudziło olbrzymie poruszenie. W naznaczonym dniu wtłoczyło się 3600 ciekawych słuchaczy w olbrzymie audytorjum uniwersytetu, a w tej liczbie 4 doktorów teologji i 50 magistrów filozofji i sztuk wyzwolonych. Dysputa, w dziesięciu rozmaitych kwestjach naukowych, w dziesięciu rozmaitych językach z dziesięcioma przeciwnikami prowadzona, trwała dziewięć godzin i skończyła się zupełnem zwycięztwem Crichtona. Jeden z pogromionych ogłosił w skutek tego broszurę, w której twierdził „że sto lat studjów bez snu i jadła, nie wystarczyłyby na nabycie tylu i tak gruntownych wiadomości, jakie ów niepojęty młodzieniec posiadał.“ Rektor i inni profesorowie obdarzyli Crichtona w dowód osobliwego uznania kosztownym pierścieniem djamentowym i workiem pełnym złota, a wszyscy słuchacze nagrodzili go gromowym oklaskiem. W wieczór tego pięknego dnia oczarował księżniczki i damy dworskie najpyszniejszym śpiewem i najmisterniejszą grą na lutni, a następnego dnia okazał zręczność swoją w karuzelu, 15 razy, raz po raz w gonitwie do pierścienia wziąwszy nagrodę. Po długim pobycie w Paryżu, udał się Crichton do Rzymu, gdzie urządził takąż samą olbrzymią dysputę w obecności papieża i kardynałów i wyszedł z niej również w pełnym tryumfie. Ztąd wyruszył do Wenecji, gdzie sławny drukarz Aldus Manutius, zapoznał go ze wszystkimi uczonymi i gdzie przez osobliwy kaprys miał mowę pochwalną na cześć Niewiadomości. Ztąd udał się do Padwy i do innych miast uniwersyteckich Italji, gdzie uczonych a więc i sposobności do dysput znaleźć było można. Wszędzie wychodził zwycięsko z tych duchowych zapasów. Sława jego coraz bardziej się rozszerzała i poczęto go uważać za największe dziwo owych czasów. Z takim rozgłosem przybył do Mantui, która miała być dlań fatalną. Panujący książę ze świetnego rodu Gonzagów upodobał w nim sobie i przywiązał go do swego dworu. W obecności dworu i licznych innych widzów zabił w pojedynku publicznym, osławionego zawadjakę i rębacza Spallanzaniego, przez którego został wyzwany z przechwałką. Za ten czyn, który wszystkich wielce ucieszył, nagrodził go książę 1500 sztukami złota. Włoskie dwory były naonczas sceną wszelkich możliwych sromotności i roiły się łotrami w jedwabnych strojach, którzy w hucznej wrzawie zabaw ciemne plany swoje przeprowadzali. Wśród śmiechów i żartów, wśród pocałunków i dźwięków mandolity, kroczyła ponuro zbrodnia jak duch tajemniczy, przez to pozornie tak wesołe a w rdzeniu tak zepsute i ohydne społeczeństwo. Aqua Tofana florencka, zatrute pachnidła, podawane w rękawiczkach, mydle i świecach woskowych, weneckie szklanne sztylety i inne piekielne wynalazki zawdzięczają temu wiekowi swój początek i z Włoch do Francji na dwór Walezjuszów przepełzły. — Crichton, wesoły artysta, słynny uczony, piękny kawaler i dzielny rębacz, nie mógł rozumie się, długo tu bez wrogów pozostać. Wiele morderczych zamachów wymierzonych przeciw niemu, dzielność jego okryła sromem. Po zabiciu zaś Spallanzaniego, nie śmiał nikt jawnie wyzwać go do walki — a zresztą, wiedziano, że książę ma go w swej łasce i swoją otacza go opieką. O wielu jeszcze innych szczególnych sztukach, których w Mantui dokonał, graniczących prawie z niepodobieństwem, opowiadają współcześni. Nie bawił się wprawdzie w czary, jak doktor Faust — a jednak znalazło się dosyć ludzi, którzy w jego istnieniu djabelski oman widzieli. Do tych jednak, którzy temu bynajmniej nie wierzyli, należała przedewszystkiem urocza marchesa Negroni, dziewica wysokiego rodu i wielkiej zamożności, do której Crichton zapłonął miłością i w której znalazł wszelką gotowość oddania mu z radością serca i ręki. Ponieważ jednak wielu najdostojniejszych w kraju ubiegało się o nią, prym więc dany Szkotowi, rozbudził powszechny gniew ku niemu i nienawiść. Książę Mantuański miał syna jedynaka, imieniem Vincenzio di Gonzaga. Dwudziestoletni ten książę, upośledzony nieco od natury, miał powierzchowność szpetną, a charakter jeszcze wstrętniejszy, szkaradnemi namiętnościami i nałogami przejęty. Z głębokim smutkiem zauważył książę ojciec zepsucie swego następcy, tak złowróżbne dla przyszłego dobrobytu kraju. Dał więc młodzieńcowi nowo pozyskanego przyjaciela Crichtona, za nauczyciela i towarzysza w nadziei, że weźmie sobie tę świetną postać za wzór i emulować z nim zacznie we wszystkich pięknych przymiotach, godnych prawdziwego rycerza, jakiemi się Szkot szczycił. Vincenzio uległ woli swego ojca i okazywał swemu nauczycielowi pewną ufność i przyjaźń. Była to jednak tylko włoska obłuda i przewrotność. Wewnętrznie nienawidził Crichtona właśnie dla jego cnót a także, jak wnet zobaczymy, i z innej przyczyny. Książę zakochał się również w marchesie Negroni, ale odtrącony został. Całą tę jednak sprawę pokrywała gruba zasłona tajemnicy. Wiadomo o niej było niewielom tylko na dworze, a między nimi francuskiemu posłowi. I tem się wyjaśniają jego przestrogi. Tymczasem Szkot ani przeczuwał, że mu z tej strony co grozi, i gdy w tym fatalnym dniu, grając z księciem w piłkę, widział go uprzejmie się uśmiechającego, ani podejrzewał, że po za tym uśmiechem najpiekielniejsza i najbardziej zbrodnicza myśl się kryje. Późnym już wieczorem okrył się Crichton białym płaszczem i opuścił z mieczem i sztyletem za pasem, pałac książęcy. Zwolna mijając pałace Colloredo i Acco, amfiteatr wirgilijski i młyn dwunastu apostołów, dążył do pałacu Negronich. Ledwo młody Szkot ujrzał przed sobą arkady pałacu Negronich i spojrzał w górę ku balkonowi, na który łukowe okna komnat jego uwielbianej wychodziły, gdy nagle wyskoczyło z ciemnych zakątków kolumnady siedmiu zakutanych i zamaskowanych ludzi, z obnażonemi mieczami i sztyletami. Jak błyskawica odskoczył Crichton kilka kroków wstecz, pojąwszy że to zasadzka, owinął płaszcz w koło lewego ramienia i ze sztyletem w lewej a szpadą w prawej ręce, plecami przyparty do kolumny bliskiego wodotrysku, oczekiwał nieustraszenie napadu, który też istotnie w kilka sekund nastąpił! Zaczęła się walka i przykry brzęk oręża napełnił ciszę nocy. W niespełna pięciu minutach, czterech z zamaskowanych morderców w części trupem, częścią ciężko rannych położył Crichton na ziemi. Nadbiegło tymczasem kilku ludzi, ale nie mając odwagi zbliżyć się patrzyli tylko z pewnego oddalenia. Marchesa Negroni, wywołana szczękiem szpad, stojąc na balkonie pałacu, z jękiem załamywała rozpaczliwie ręce. Crichton rzucił jej kilka uspakajających słów i nagle odskakując od fontanny, zwrócił się przeciw trzem pozostałym bandytom, którzy co tchu jęli zmykać. Dzielny Szkot ścigał szczególniej za jednym, który mu się zdał być hersztem tej bandy morderców; przez cały czas walki bowiem trzymał się cokolwiek z tyłu i innych okrzykiem zagrzewał. Wreszcie udało się Crichtonowi uciekającego dopędzić. Jednem uderzeniem pięści powalił go na ziemię, przyłożył mu sztylet do piersi i jednocześnie zerwał larwę z twarzy. Jakież było jego przerażenie i podziw, gdy w tym herszcie poznał swego wychowańca, księcia Vincenzio... — Na wszystkich świętych! — krzyknął osłupiały. — Szatański to obłęd czy oczu moich złudzenie? Przebacz mi wasza książęca mość, żem na nią podniósł rękę! — I to wyrzekłszy, pomógł księciu powstać, a potem zgiął przed nim jedno kolano i oddając mu rękojeść swej zbroczonej szpady, jednocześnie ostrze ku piersi swojej zwrócił. Był to akt najszlachetniejszej prawości, mający służyć za podstawę do zgody. Niewątpliwie chciał Crichton tym sposobem pokazać swemu godnemu litości wychowańcowi, jak wielkoduszność, i honor w podobnym razie prawemu rycerzowi postąpić nakazują. Ale niegodziwy książę Vincenzio di Gonzaga inaczej to pojął. Pełen ślepej wściekłości, opętany przez demona pomsty, pochwycił za podaną mu szpadę i pchnął nią z całej siły w piersi szlachetnego Szkota, tak, że ten natychmiast w tył upadł i w kilka chwil pięknego oddał ducha. Na ten widok nikczemny zbrodniarz umknął co tchu. Karnawałowe postacie w fantastycznych maskach i kostjumach zbliżyły się wówczas z pochodniami do poległego i otoczyły go, a w chwilę potem marchesa Negroni leżała bez tchu na jego piersiach. Tak tragicznie skończył Crichton „Cudowny“ stojący w dziejach jak niepojęty fenomen. Wspomnienie jego nie prędko wygasło w Italji. Dziś jeszcze w wielu tamtejszych pałacach ujrzeć można stare obrazy, przedstawiające go z mieczem w jednej a księgą w drugiej ręce. Marchesa Negroni, została zakonnicą i o nie wiele przeżyła swego narzeczonego. Co do księcia, ten jak wielu dawniejszych książąt skorzystał z przywileju bezkarności. Ojciec, mimo głębokiego żalu, nie mógł przecież kazać ściąć swego następcy. Skończyło się na uwięzieniu go. Odzyskawszy wolność, zbrodniczy młodzieniec pomyślał o zemście nad ojcem. Trucizna posłużyła mu za środek. Zająwszy ojca miejsce, Vincenzio rozpoczął szereg najsromotniejszych czynów. Tortury i otrucia cechują jego panowanie. Wreszcie i jego doścignęła nieubłagana Nemezis. Jeden z krewnych otruł go, dla uratowania własnego życia od zamachów tego potworu. W skutek tego przeszło księstwo Mantuańskie do domu Guastala.

Treść Nr. 47.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).